

Wies

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

T. ORLEWICZ — Indie — kraj głodu i walki J. KAPIŃSKI — U spółdzielców w Niecziejnie
J. STAWIŃSKI — Lud ułotki wkracza w rewolucję L. ARAGON i A. STIL — Francja woła
M. ZMIGRODZKA — Wybitne osiągnięcia realizmu socjalistycznego L. LEGUT — Watycka...
M. NIEWIAROWSKI — Spotkanie z dziewczyną M. WILK — Pamflety Galana
S. SIEKIERSKI — Popularyzować osiągnięcia bibliotekarzy
G. TIMOFIEJEW — O radzieckim szkicu literackim

Rok IX

Warszawa, dn. 20 VII. 1952 r.

Nr 29 (363)



Foto CAF

A. F. KIRLO-NOWACZYK

RANEK W SPÓŁDZIELNI

Świt z mroków wynurzył kontury chat białe,
pierwszy dymek siwym uleciał obłokiem.
Jeszcze senna cisza nad ziemią zwisała,
Kasztan chwał na wietrze listowiem szerokim.
Po drodze wóz terkotał. Z przebudzonych okien
twarz wyrzała czerstwa snem zaróżowiona.
Mleczarka szła do zlewni. Chłopiec jasnooki
parę gniadych pędził. Zadudniły dzwona.
Grzesiak w progu stanął. Mgły rzędy nad strugą,
odślaniały oczom dal odległą, płową.
Od sadu woń jabłek szła szeroką smugą,
uśmiechnął się stary — świeży dojrzał owoc.

STANISŁAW KAMIŃSKI

PRZED ŻNIWAMI

Dłonie spragnione pieczą już kłosa
pachnące świeżym wypięciem chleba,
ziarno pękate jak kropie rosy
szybko w przedziwnym słońcu dojrzewa.

Płodne się w polu zanoszą żniwo,
wypracowane troską najszczęśliwszą:
wspólnie się cieszą i wspólnie dziwią
chłopi z powstałej wiosną spółdzielni.

Wnet przyjdzie lipiec nagłony słońcem
i płowe kłosa miodem zabarwi:
wydają w południe któreś gorące
żać płon na wspólne pola żniwiarki.

I wyjdą w pole chlapi gromadnie,
o płon złączeni troskliwą myślą:
przed burzą pokos ku stogom zgarnąć
i grabiarkami przemierzyć rżysko.

Dziś przez te pola szumiące łanem,
którego żadna miedza nie dzieli,
dziś przez te żyta miodem skapane
prowadzi jasna droga spółdzielni.

RYSZARD DOROBA

PIEŚŃ ŻNIWIARZY

Choć pot znoyny spływa z czoła,
radością błyszczą nasze twarze —
nasza ziemia do pracy nas woła.
Idziemy na jej zew — żniwiarze.

Idziemy bujne zbierać zboże
z rozległych naszych pól bez miedz,
a w pracy zapal nam pomoże.
Dziś łan przed nami musi lec.

Z pól nas nie spędzą wrogie burze
pieśni nie przerwie mordu stal —
nasz wzrok spokojnie patrzy w dal
na lot gołębia w górze.

Zbieramy ziemi naszej plony,
dorodne, jak spółdzielcze pole —
stawiamy sterty — złote dzwony,
by chleb na każdym leżał stole.

By miasta nasze, sercu bliskie,
już nigdy nie zasnęły głodem —
niechaj polączy serca wszystkie
miłość i praca dla narodu.

Z pól nas nie spędzą wrogie burze,
pieśni nie przerwie mordu stal —
nasz wzrok spokojnie patrzy w dal
na lot gołębia w górze.

PIOTR CHMURA

CO MÓWIĄ STARZY CHŁOPI?...

WYSŁALIŚMY kilka listów w kraj, pytając o przygotowania do żniw. W tej małej ankiecie świadomie postawiliśmy na przypadek. Niech idą pytania w nieznane.

Nie można jednak naszego przedsięwzięcia nazwać eksperymentem. Podjęliśmy je bowiem w roku przełomu, kiedy od lat naród nasz staje się narodem socjalistycznym. To też kogośkolwiek spytanie z mało i średniorolnych w odpowiedzi ukaże nam w większym czy mniejszym stopniu odbicie takiej dynamiki przemian, jaka wciąż przewyższa to, co na temat wsi komponują pisarze. Bo ci „niezawodowi” kronikarze naszego życia i jego komentatorzy ważą się zawsze na przedstawienie ostatnich dni, zanim temat się uleży i zekruje.

W powieściach i opowiadaniach dowiadujemy się o przemianach już minionych, „wśród ludzi” dowiemy się o tych, jakie teraz na gorąco zachodzą. A jaką one otwierają perspektywę — warto aby zorientowali się pisarze i działacze.



Foto J. K. Maciejewski

Oto macie przypadek. Odpisuje małorolny, Marcin Szczepaniak z powiatu sieradzkiego. On stary, żona starszuszka ale — „radę sobie damy”. W jaki sposób? Dwie córki pracują w przemyśle, „w mieście Łodzi”, syn w Wojsku Polskim. To jedna strona zagadnienia, ale jest i druga. Starszowie zostali na gospodarce, której dzieciom już nie przekaza, wyfrunęli bowiem z gniazda. Dla nich zaś samych ze względu na starość i małe potrzeby byłoby lepiej produkcję obniżyć i ograniczyć. Takiego spodziewaliście się wyniku? Toście się pomylili.

„Radę sobie damy bo i tam w mieście potrzebni są ludzie do pracy, jak i obrony granic naszej Polski Ludowej”.

„Dziękuję redakcji za pamięć i troskę o pracę chłopca. Wasze słowa zbliżyły mnie do miasta i czuję, że jestem w ścisłej łączności ze stolicą, naszą Warszawą”.

„Okres żniw, to chwila, na którą czeka rolnik i cała nasza Polska pracująca miast i wsi”.

Stary Marciniak, jak widzicie, nie obniżył i nie ograniczył produkcji. Przeciwnie, wzmógł ją i rozszerzył, bo Marciniak to człowiek z awansu społecznego. Z tej kategorii awansu, jakiej dotad prawie nikt nie wymieniał. Pisało się o szkołach, kursach, przedwiośnie, kadrach działaczy, nominacjach, wysokokwalifikującym szkoleniu w pracy itd. A Marciniak uświadamia sobie jeszcze inny rodzaj — awansu starych chłopów.

Na czym ten awans polega? „Czuje, że jestem w ścisłej łączności... ze stolicą i miastami”. Ze stolicą, tzn. z rządem ludowym, z miastami, tzn. ze zwycięską i kierującą klasą robotniczą. Jaka to łączność? Taka, która wynosi małorolnego, bo w sojuszu robotniczo — chłopskim przybliża go i najściślej jednocy z władzą i ustrojem.

Ale tak się rzeczy mają — powiecie — z całym chłopstwem mało i średniorolnym, niezależnie od wieku. Oczywiście, z tym jednak zastrzeżeniem, że różne bodźce wywołują ten sam stan rzeczy w różnych klasach wieku. Stary chlapi mają najpełniejszą skalę porównań nowych lat z dawnymi i to ich różni od młodych pokoleń.

Marciniak pisze, że „w mieście potrzebni są ludzie zarówno do pracy jak i do obrony naszej Polski Ludowej”. Ten sam Marciniak w latach swojej młodości i dojrzałego wieku widział, że w miastach do pracy ludzie nie byli potrzebni. Bo ci, co wychodzili ze wsi, nie utwierdzali ani rodziny ani „gromady” w przekonaniu, że

są potrzebni Polsce, że idą na inny posterunek gospodarki narodowej. Walka o życie rozszerzała się tu i tam ale bilans po obu stronach jednak układał się gorzki i zawodny.

Marciniak doświadczył aż nadto dobrze, co znaczyło dla „stolicy” być mało a nawet średniorolnym chłopem. Władza nad chłami! Stupajka, sekwestrator, pacyfikacja i sady. Z której by nie brać strony jedno jest pewne — nienawiść starych Marciniaków do sanacji, do dyktatury burżuazyjno — faszystowskiej przepaścią oddzieliła ich od „stolicy”, od miast oddzieliła tragedia klasy robotniczej, podły los braci i dzieci, ryzykujących poniewierkę od miasta do miasta. O klasie robotniczej też wiedzieli, że nad nią jest władza wyzysku i terroru. Jakże więc te dwa ramiona rodzinny chłopskiej — pozostałych na roli i desperatów, którzy wędrowali do fabryk — miały czuć, że są w ścisłej łączności ze stolicą i miastami?

Starzy chlapi bywali jeszcze za oceanem, we Francji, Niemczech Belgii, znali jeszcze fabryki, podczas, gdy młode pokolenie w swoich życiorysach (8 milionów bezrobotnych) ukazało, że miasta i fabryki są już dla niego tylko złowrogim i niedostępnym mitem.

Starzy pamiętali czasy, kiedy wydawało się, że w kapitalizm można będzie jeszcze wrócić. Ze przyniesie on rozwój techniki, industrializację, postęp w rolnictwie i rynek pracy. Starzy więc już przed wojną mieli co porównywać. Oni widzieli prawie wszystkie ogniwa procesu, który mówił o gniciu kapitalizmu, o katastrofie, jaka zawiązała nad masami ludowymi i ojczyzną.

Dlatego nie przechodziło lekko nad wstępnym listu starego Marciniaka. Nie czytając go powierzchownie. Jedno ramię rodziny Marciniaka — dzieci — znalazły w mieście pracę, która wreszcie jest potrzebna narodowi i dzięki której już „Polska przestaje być krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym”. Drugie ramię — stary Marciniakowie — przeżywały w nowej Polsce z roku na rok coraz pełniej godność, jaką zdeptano w ich latach młodości i dojrzałości — „żniwa to chwila, na którą czeka rolnik i cała nasza Polska pracująca miast i wsi”.

Dlatego czuje stary Marciniak, że jest w ścisłej łączności ze stolicą i miastami. I dlatego „radę sobie damy”, mówi w swoim i żony — starszuszki imieniu. I jeszcze coś mówi. Coś, co dowodzi, jak głęboko sięgnęła rewolucja w najstarsze pokolenie, jak je zdobywa i jakiego wreszcie znajduje w niej strażnika swych zdobyczy: „radę sobie damy bo i tam, w mieście potrzebni są ludzie do obrony granic naszej Polski Ludowej”.

Stary Marciniak pisze z wioski Dzierżazna, leżącej nad górnym biegiem Warty. 60 gospodarstw, 34 konie, „liczyć co drugie gospodarstwo. Przy takim stanie gromada zdolna będzie dokonać szybko siewu poplonu”. Jak Wam się podoba rachunek Marciniaka? Starzy chlapi na dawniej wsi cieszyli się autorytetem, oczywiście, chlapi bogacie. Taki miał doświadczenie wieku i wielkiej gospodarki. Senior ogarniał spojrzeniem całą gromadę i wyrokował o niej w gminie i na sejmiku. Ale nie małorolny, ale nie tak, jak to czyni Marciniak. W kampanii produkcyjnej ten stary chlapi widzi gromadę, całą całość. Czy jest spółdzielcą? Nie. Czy chce spółdzielni produkcyjnej? Nie wiem. Ale jasne, że w obliczu kampanii żniwnej rozumuje jak przewodniczący kolektywu. We wsi indywidualnej trzeba jednak dopiero montować zespół. Nie jest on gotowy, jak w spółdzielni. Zadanie trudniejsze i strategia szersza. Bo aby praca była wspólna, należy uwzględnić i ubezpieczyć warunki, które popchną gromadę do wspólnej i terminowej akcji. Stary Marciniak zdumiewa.

„Nasza gmina liczy siedem gromad. SOM posiada 2 sнопowiazalki i dwie żniwiarki, 300 kg. sznurka do wiązania. Mamy jeszcze jedną żniwiarkę prywatną, którą będziemy dysponować. Razem więc 3 żniwiarki i 2 sнопowiazalki do dyspozycji. Ale choć żyta robią się już białe, tow. Czyżewski, jako kierownik SOM-u w Kamioncu, jeszcze ich nie rozstał po gromadach. Także nie jestem pewien, czy prezydium GRN wpłynęło na bogacza Switonia, który ma traktor i młocarnię, a mają go przecież pod bokiem, w gminnej wsi Ronorzycach. Należało wyremontować traktor, bo

Switonia podał go, jako zepsuty i sam by nie korzystał, byle nie puścić w ruch dla chłopów.

W sprawie omlotów poważne zaniedbanie. Do dnia dzisiejszego motory spalinowe są jeszcze w remoncie w Sieradzu (PZGS) i nie wiadomo czy nadają, a przecież oddane były siedem miesięcy temu do naprawy.

Także nie zajęto zdecydowanego stanowiska wobec dwu kulałów Switonia z Ronorzyc i Sobczyka z Glimia, którzy mają młocarnie. Obie wymagały remontu. Sobczykowi w ubiegłym roku psuł się motor i gospodarze przeklinali go, bo młócił w trzy dni tyle, co się młóci w trzy godziny. Ale Sobczykowi szło o to, aby zniechęcić chłopów do maszyn.

Ludzi mamy w gromadzie dość, aby całe żniwa przeprowadzić sprawnie. Dzieci i młodzież, która powróciła ze szkół, zgłosiła pomoc, co nas bardzo cieszy. Dużo ludzi z naszej gromady pracuje w mieście i innych zakładach pracy. Stąd też będziemy mieli trochę pomocy. Ale najważniejsze, żeby nie zamarować żadnej maszyny. Za to powinna być ciężka odpowiedzialność”.

Władysław Jabłkowski z Ogorzeli (pow. Chojnice) liczy sobie 77 lat. Drugi to zatem list od starego chłopca. Przepraszam za błąd w pisaniu, bo „za caratu” nie uczyli mnie po polsku, a to co umiem, co-bie zawdzięcam, rodzice biedni byli”.

Jakże wielki kawał historii przeżył Jabłkowski. Nie jestem pewny czy rozumiał ją dawniej, kiedy był młody a i potem, kiedy był w sile wieku. Ale teraz, choć pora już grać się za piecem, 77-letni starzec zdumiewa jasnością sądu i propozycjami, w których mądrość praktyczna i energia czynu znów mu przywracają młodość. Młodość naszych czasów, nowego życia!



Foto J. K. Maciejewski

Jabłkowski bowiem — słuchajcie, słuchajcie — proponuje założenie spółdzielni produkcyjnej. Nie od tego zaczyna. Piszcie o przygotowaniu do żniw. Analizuje wszystkie warunki i ogniwa kampanii. I z tych przesłanek — wywodzi wybuch pod koniec — „jako jedyną radą” — spółdzielni produkcyjną. Starzec stawia ją zapalczywie, cały autorytet wieku i wiedzy kładąc na dyskusję, z walki w gromadzie, w liście pulsującej pasją wojującego starca, słychać, jak stary wali pięścią w stół, a krewni kulałów drżą, bo „dowodzą o ołówek w reku”...

Zaczynajmy jednak od początku. Jak by ktoś uniósł kurtynę. Odsłaniają się pola Ogorzeli z jednym w tej chwili bohaterem na scenie. 77-letni starzec ręką przybliża nam plony. Oto „pszenica ozima — śliczna i jara — dobra, jęczmień browarny — bardzo dobry, owies — średni, seradela, grochy i peluski — świetne, żyto miejscami sytne, tylko rzepak i rzepik słabo wyrósł, ugodziła go susza, a potem nie skrył śnieg. Z ziemniakami i burakami jak dotąd pomyślnie, opiniować będziemy przed wykopkami. Łubiny — słodki i gorzki, niebieski, bardzo ładne w przedplonie. Niebieski zasiany podwójnie, czym gęstszy, tym lepiej rośnie i nie dopuszcza chwastów, a daje dużo azotu i próchnicy”.

Piękny pejzaż. Piękne wprowadzenie. Teraz scena się zaludnia. Najpierw konie. Wszyscy je mają, „czyli siła pociągowa jest zupełnie wystarczająca do zwózki, podorywek i poplonów”.

Wdowie (na 5 ha) i wdowcowi (na 7 ha) Rada Gminna przydzieliła pomoc sąsiedzką. W zapasie są jeszcze traktor i trzy konie u pewnego kulała, które gromada wciągnęła do akcji.

Na tej scenie kończy się spokojny tok narracji.

Teraz bowiem Jabłkowski ukaże ludzi. A jak ludzie, to już nie sielanka, ale walka.

„W ubiegłym roku zapotrzebowanie na maszyny podpisało nas 65 średniorolnych i dwu małorolnych. Plan zaś był sporządzony na 120 gospodarzy. Reszta to jednak kulały, którzy posiadają swoje własne wiązalki, żniwiarki, motory, kosiarzki, siewniki i młocarnie. Nie liczone ich więc w planie. I z Ośrodku z Chojnice dostano nam 2 żniwiarki i jedną wiązalkę. Za mało tego było na nas średnio i małorolnych. A kulałów nie pociągnęło. Aby z ołówek w rękę wylizywać ile ich maszyny dalo by się nam i w sąsiedniej wsi obrobić. To był błąd i będzie źle jeśli teraz się powtórzy”.

U nas bowiem we wsi jest szczególna sytuacja. Część niemała gromady to kulały, a druga większa — średniacy i małorolni. Ale w tej grupie dużo synów i krewnych kulałów, więc na ich zapatrywania mają wpływ bogacze. Gdyby maszyny wujków i stryjków użyć dla gromady, to by krewni przekonali się, co znaczy zorganizowana technika na polach całej wsi.

Prywatnych maszyn do młócenia mamy wśród średniorolnych 5 i te są przybiecane do akcji. Co jest po tej stronie, to mimo wujków i stryjków kulałów da się w gromadzie wykorzystać.

Najcięższa u nas sprawa z siłą roboczą. Wprost katastrofalna. Wszystkie młodość poszła do szkół a po skończeniu na urzędy, do fabryk, do kopalni, do PGR-ów, SP. Wiesz ogołocona z robotników. I za żadne pieniądze takowego nie dostanie. Urządzamy się więc w ten sposób, że 13 gospodarzy idzie do jednego i w dwa dni na 2 ha wykopki ziemniaków gotowe, ale konie tymczasem stoją, orka i siew czeka, a kiedy dojdziemy do ostatniego, to mu pole mrozy mogą już złapać.

W ubiegłym roku zlikwidowaliśmy ugorość o cna. 70 ha. Ale teraz przy braku siły roboczej mocno je czujemy, bo ci co przybędą na urlopy, kropła w morzu. Wszystkim akurat na żniwa nie wyplanują urlopów. Jakby tak dalej miała iść indywidualna gospodarka, to przewiduję załamanie u nas z braku rak roboczych, jak było z trzodą chlewną w tamtym roku. Jedyną radą — założyć spółdzielnię produkcyjną.

Dowiedzione jest z ołwkiem w rękę, że 300 ha przy 2 traktorach z przyczepkami i 4-ch parach koni, przy zastanowieniu odpowiedniego płodozmianu śpiewająco obrobi 20 stałych pracowników. To jest jedynne wyjście w naszej sytuacji. A przy pomocy nowoczesnych maszyn będą świetne urodzaje, bo na każdej ziemi innej można zastosować płodozmian.

Na naszych trzy razy większych obszarach jeszcze by zostało trochę luźnych rąk do innych celów. Ale gadaj tu z krewniakami i rodzinami kulałów. Brak sił czują. Rachunku zorganizowanej pracy w spółdzielni podważyć nie mogą. Katastrofa, którą zapowiadam, straszy ich a planu państwa nie popuści. Ale kiedy to wszystko siedzi im już w głowie, na ostatek obierają się znowu na zbrojownie maszyn u wujków i stryjków. Trzeba nam udzielić pomocy i w sprawie tej zbrojowni kulackiego rodu i w sprawie agtacji.

Bo załamanie, jakie przeprowadzam, nie załamanie produkcji rolnej, załamanie tylko siły rzeczy gospodarki indywidualnej. Trzeba więc pomóc rodzinom bogaczom, aby w konieczności, jaka ich dosięgnie z braku rak roboczych, zobaczyli jeszcze lepszą przyszłość, prawdziwe wyzwolenie.

Piotr Chmura



Foto E. Gołowski

JULIAN STAWIŃSKI

CHŁOP WŁOSKI WKRAČA W REWOLUCJĘ

WŁOCHY de Gasperi i stółpinowską Rosję, czy też Amerykę Łacińską naszych czasów, szarpiąc się w kleszczach kolonializmu USA, nie zda się na pozór nie łączyć. A jednak obraz życia współczesnej wsi włoskiej, kreślony piórem współczesnego pisarza, nasuwa skojarzenia sięgające daleko poza teren akcji zamkniętej fabuły powieściowej. Taką zresztą zapewne była intencja autora. „Bieg do Fragala” Juliana Strykowskiego to nie tylko wycinek dzisiejszej Kalabrii. Strykowski podaje syntezę zagadnień, zilustrowaną na świetnie ujętym przykładzie, syntezę, która każe nam sięgnąć myślą daleko poza miejsce opisywanych wypadków. Problem Roca di Zolfo to problem agrarny Włoch, to dojrzwienie świadomości chłopstwa włoskiego, to narastanie podstawowego czynnika rewolucji — sojuszu robotniczo-chłopskiego. I mimo całą różnicę specyfiki rozwojowej krajów odległych w przestrzeni czy nawet w czasie, nieodparcie przychodzi nam na myśl genialna analiza leninowska ukazująca w blaskawym przekroju tragedię chłopską oraz tragedię tej rewolucyjnej akord i rozwiązanie:

„Sam ucisk — pisał Lenin w lecie 1913 — choćby nie wiadomo jak wielki, nie zawsze wytwarza rewolucyjną sytuację w kraju. Przeważnie dla rewolucji nie jest rzeczą wystarczającą, aby dół nie chciał żyć tak jak dotąd. Dla rewolucji potrzeba jeszcze, aby góra nie mogła gospodarzyć i rządzić jak dotąd. To właśnie widzimy teraz w Rosji. Kryzys polityczny dojrzała w oczach wszystkich”.

Jednakże „ani ucisk dółów, ani kryzys góry, nie wytworzą jeszcze rewolucji — wytworzą tylko gnieć kraju — jeśli nie ma w tym kraju klasy rewolucyjnie zdolnej do przekształcenia biernego stanu ucisku w czynny stan buntu i powstania. Tę rolę klasy istotnie produkującej, istotnie porywającej masę do rewolucji, istotnie zdolnej uratować Rosję od gnicia, odgrywa właśnie proletariatus przemysłowy. To zadanie urzeczywistnia właśnie przez swe rewolucyjne strajki”. Owe strajki są... „jednym z najskuteczniejszych środków przewyższenia apatii, rozpacz i rozproszkowania proletariatus rolnego i chłopstwa, wciągająca go do możliwie najbardziej zgodnych, jednoczesnych oraz szerokości wystąpień rewolucyjnych”.

Czynnikiem, który przyspieszał kryzys góry i rewolucjonizował chłopów przechodzących w szeregi proletariatus, był ucisk i była wojna, czyli środki mające na celu utrwalić władzę reakcji. Taki bowiem fatalizm ciąży na burżuazji, że chcąc się ratować zbliża tylko swój kres. Choć chce zatrzymać historię, zwiększa tempo jej marszu.

przeciąganie bezruchu wsi rozszalać musi ustrój. Na rolniczym południu Włoch tli się w żałobach wyschłej ziemi pożar niemiłej gwałtowności, niż w fabrykach północnych zamykanych z rozkazu monopolu USA.

Kiedy przed blisko stu laty Giuseppe Garibaldi na czele Tysiąca Walecznych wyzwalał południowe Włochy spod despotycznej władzy Burbonów i z balkonu na Piazza Pretoria w Palermo ogłaszał wolę ludu włoskiego „aby Italia była jedna i niepodzielna”, jak głosi pamiętna tablica — nie zdawał sobie sprawy, że jednoś ta będzie jednością wyzyskiwaczy, że burżuazja pogrzebie niebawem własną rewolucję i, spryszczona z pobitym feudalizmem, na jego gruzach i pozostałościach zbuduje rządy nowego terroru.

Zjednoczenia Włoch dokonał kapitalizm przemysłowy Północy, walczył, pozbawiony rezerw, bazy surowcowej i zdolności konkurencyjnej. Toteż szybko popadł w załamanie od potężniejszych rywali. W początkiem XX-go stulecia kapitalizm niemiecki królował w Lombardii, angielski na Sycylii, francuski w Płacencie, belgijski w przedsielbiorstwach tramwajowych etc. W rezultacie narastający imperializm włoski przezwany został „imperializmem biedaków” (l'imperialismo delle povere gente), a przywódca nacjonalistów, Corradini, nakładał mu maskę nieomal wyzwoliciela pisał: „Tak jak socjalizm był metodą oswobodzenia proletariatus od burżuazji, tak nacjonalizm będzie dla nas, Włochów, metodą uwolnienia się od Francuzów, Niemców, Anglików i Amerykanów, którzy w stosunku do nas stanowią burżuazję”.

Kapitałizm włoski, cierpiąc na chroniczny i „wrodzony” niedowład, pogłębiał jeszcze własne trudności swą kolonialną polityką wobec Południa. Była to niemal replika uprawianej w Irlandii polityki kapitalu angielskiego. Południowe prowincje Włoch utrzymywano w sposób sztuczny w ramach gospodarki przedkapitałistycznej, co miało gwarantować trwały rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych Północy, trwałe źródło taniej siły roboczej i źródło niektórych surowców. W praktyce uciskanie z Południa kolonii kapitalistów lombardzkiej zwodziło i uszytwniło rynek wewnętrzny wywierając fatalny wpływ na całokształt gospodarki Włoch, przede wszystkim zaś na rozwój agrarny i demograficzny Włoch południowych.

Od roku 1864 ludność kraju wzrosła przeszło o połowę. Jednakże ludność produkcyjna wzrosła zaledwie o 2,5 proc., a na południu o 2 proc., gdy ludność nieprodukcyjna — o 103 proc. Tym samym obciążenie elementów wytwórczych wzrosło o 220 proc. Bezrobocie w przemyśle, o charakte-

rze chronicznym, obejmuje 27 proc. robotników — z górą 2 miliony. Liczba bezrobotnych robotników rolnych wynosi znacznie ponad milion, a najemników rolnych zatrudnionych przeciętnie ok. 100 dni w roku przekracza 4,5 miliona.

Cały obszar ziemi uprawnej zajmuje przestrzeń 28 milionów hektarów. Z tego 16 milionów należy do wielkiej własności oraz Kościoła i państwa. Do chłopów średnio-rolnych i kulaków — 6 milionów. A przeszło pięćmilionowa masa bezrolnych i małorolnych, która wraz z rodzinami stanowi połowę ludności kraju, gnieździ się na niezliczonej ilości gospodarstw karłowatych o łącznym obszarze zaledwie 6 milionów ha. W rezultacie przypada ich najmniej tysiąc na obszarnika, najmniej tysiąc na każde latyfundium. Połowa tych karłowatych gospodarstw to zagrody pozbawione zupełnie ziemi, a nieraz nawet i ludzkiego domostwa. Według urzędowych spisów czwarta część ludności Południa zajmuje „lokale” niemieszkalne, z których blisko 20 proc. stanowią grotty, szalasy z chrustu i zeschłych liści itd.. Takie stosunki spotykamy nągminnie w Ameryce Łacińskiej, w Europie należą jednak na ogół do przeszłości dawno już przebrzmiałej. Przyczyną zresztą w obu wypadkach są te same i ten sam mechanizm: kolonialne metody wyzysku, prymitywne metody uprawy i przedkapitałistyczna, feudalna struktura gospodarki rolniej; analfabetyzm sięgający i dziś 50 proc.

Na ciemnocie i nędzy wznosiła swój dobrobyt arystokracja włoska i z nich czerpała siły w złudnym przekonaniu, że aż po kres istnienia rościć będą bierność — rekojmie obszarńczej potęgi. Motyka i łopata wciąż jeszcze są narzędziem pracy bezrolnych i małorolnych rozrzucających z rozpaczą jałowe z braku nawozów splachetki wyschłej ziemi. I po dawnemu gospodarzy obszarńcy: małe nakłady, wielkie nieuzyski — najczęściej li-che pastwiska i tereny łowieckie.

Stupdownym ciężarem przynajmniej chłop włoskiego pan latyfundiizm, a narzedim ucisku są dwa zwłaszcza czynniki sprawujące, że rolnictwo „słonecznej Italii” tworzy groźną, posępną osobliwość współczesnej cywilizacji — dzierżawa i woda. Nigdzie na świecie nie ma chyba takiego łańcucha pośredników, takiej piramidy wyzysku: dzierżawcy, poddzierżawcy pierwszego i drugiego stopnia — aż wreszcie schodzi się na sam dół, do właściwego uprawiacza ziemi. Z tym systemem wiąże się cała gmatwanina powiązań bocznych: chłop pozbawiony jest często najprostszymi narzędziami, a z reguły — sprzętami. Wypożyczanie inwentarza pościaga za sobą odołek — stałą domagą pańszczyźnianych stosunków. Dodajmy łańcuch pośredników w sprzedaży, dodajmy osławione i u-

nas nożyce — wysokie ceny wyrobów przemysłowych i niskie produktów rolnych. Dodajmy świadomie wrogą politykę fiskalną i transportową — a będziemy mieli pełny obraz nędzy i w jakiej szmacie się chłop włoskiego Południa.

Niemal pełny — z wyjątkiem wody. Trudno znaleźć miarę porównawczą aby uwypuklić doniosłość tej sprawy. Chyba wśród plag egipskich Starego Testamentu, czy wędrowce pustynie do Ziemi Obiecanej. Z tą różnicą, że ziemia obiecana tutaj leży o rzut kamieniem, wchodzi w skład włosci obszarńczych, zakroglonych przy oficjalnym znoszeniu pańszczyzny w taki sposób, aby zapewnić latyfundiom zupełny w praktyce monopol na wodę.

Apulia, Lukania, Kampania Neapolitańska, Bruttium — dzisiejsza Kalabria — były niegdyś spichrzem i bazą agrarną potęgi starożytnego Rzymu. Podstawą rolnictwa była irygacja, do pracy też wpręganio tysiące niewolników. Od owych czasów wilgotność gleby powoli się zmniejszała na skutek wycięcia lasów, a urządzanie nawadniania zostały skasowane: ich brak zapewnia obszarńcom władzę absolutną „władzę dosłownie życia i śmierci nad milionową rzeszą niewolników współczesnych, których wyżywić nie może ziemia spalona słońcem na popiół, zakrzepła w skałę bardziej nieczułą niż ta, skąd za sprawą Mojżesza wytrysło źródło.

Bezpownotnie zresztą minęły czasy Mojżesza, nadeszła epoka rewolucji. Socjalistycznej rewolucji, której — jak mówił Lenin — „nie można rozpatrywać jako jeden akt, ale należy rozpatrywać jako epokę burliwych wstrząsów politycznych i gospodarczych, najostrejszej walki klasowej, wojny domowej, rewolucji i kontrrewolucji”. Poprzez dwie „samodzielne” wojny kolonialne „imperializmu biedaków”, poprzez dwie wojny światowe, poprzez faszyzm Mussoliniego i superfaszyzm amerykański rządzący dzisiaj Włochami narasta socjalistyczna przyszłość Italii. Panowanie burżuazji wciąż jeszcze trwa, ale góra włoska nie może już gospodarzyć i rządzić bez terroru. A nawet taka terrorystyczna dyktatura nie mogłaby się utrzymać ani jednego dnia, gdyby nie była oparta o czołgi i bagnety USA. Cena tego poparcia jest bardzo wysoka. Monopole amerykańskie nie operują obecnie drogą eksportu kapitałów, wykupu poszczególnych przedsiębiorstw. Takich inwestycji nie chcą ryzykować. Ich dominacja polega na podporządkowaniu sobie całej klasy rządzącej i całej gospodarki kraju podbitego. Rozbijają jego ekonomiczną strukturę, czynią z jego przemysłu filie uzupełniające własnych zakładów centralnych, zajmują bazy, narzucają zbrojenia i

wykrwawiają doszczętnie ujemny bilans płatniczy.

W tych warunkach de Gasperi stanął wobec prawdziwej kwadratury koła. Powrót do koalicji antyfaszystowskiej z pierwszych lat po wojnie był dlań niemożliwy, gdyż oznaczałby koniec władzy kapitalistów północnych, których jest narzędziem i przeciwstawieniem się Stanom Zjednoczonym, dzięki którym pozostaje u steru. Departament Stanu domaga się dalszej faszystyzacji i tego samego żąda również Watykan. Zadanie nie jest jednak tak proste. „Ostatecznie, nie da się zaprzeczyć, że faszyzm przegrał wojnę” — jak się wyraził niedawno znany reakcyjny dziennikarz amerykański, Joseph Alsop. De Gasperi organizuje więc faszyzm klerykalny, przybrany w cały przepych liturgicznego aparatu, zbrojny w magię zaklęć, błogosławieństw i klątw, realizuje niespełnione sny o powrocie do władzy świeckiej piątego już z rzędu papieża.

Kryzys góry dochodzi do zenitu, zaostraża się antagonizm pomiędzy drobniemiścianstwem a burżuazją, chłopci uświadamiają sobie, że przyczyną ich nieszczęść leży w porażkach proletariatus.

Proletariat włoski, zjednoczony wokół partii komunistycznej i solidarny z nią partii socjalistycznej, po złamaniu faszyzmu stanął na czele narodu jako klasa rewolucyjna, istotnie produkująca, istotnie zdolna uratować Włochy od gnicia. Proletariat włoski opracował plan odrodzenia życia gospodarczego, nazwał go swoim imieniem — Planem del Lavoro — zajmuje beczynne fabryki i puszcza je w ruch: strajk czynny, strajk „na odwrót”. Inicjuje front narodowy, sojuszników robotników i chłopów w obronie niepodległości politycznej kraju, sojuszników w walce o pokój i usunięcie okupantów amerykańskich. „Trzeba przynajmniej — pisze angielski labour-ysta Aylmer Vallance — że klasa robotnicza i partia komunistyczna na tle słońca włoskiej”. I cytując słowa starego profesora uniwersytetu w Genui: „Przez lat trzydzieści byłem liberałem i jestem nim nadal. Ale w komunistach widzę dzisiaj jedyną ochronę mojej wolności osobistej przed brutalną i bezwzględna reakcją”.

Włoska klasa robotnicza swoim przykładem i bezpośrednim wpływem rewolucjonizuje masę proletariatus rolnego i chłopstwa, które przewyższyć ją zupełnie swą wieloletnią apatią, rozpacz i rozproszkowanie. Najemnicy rolni tworzą pożyteczny związek — Federacja — obejmujący ponad milion członków i sami z kolei organizują „strajki „na odwrót”. Łączą się z nimi drobni dzierżawcy i chłopci bezrolni i małorolni, wciągają się do solidarnych akcji z proletariatem przemysłowym, przystępują do masowych wystąpień rewolucyjnych, wysuwających żądania polityczne i

gospodarcze. Wielki strajk rolny najemników wiosną 1949, a potem opłacone krwawymi ofiarami okupowanie ziem obszarńczych zmusiło wreszcie rząd do wnieścia projektu reformy rolniej. Reforma była — wprawdzie bardzo nieśmiała, a przy tym nawet i taka uległa jeszcze okrojeniu pod wpływem sprzeciwów części popierających de Gasperię grupowań. Ale jej skutki były nader znamienne: wstrząsnęły koalicją rządową, dożywając na jaw nurtujące ją sprzeczności, natomiast skonsolidowały sojusz robotniczo-chłopski. Znalazło to wyraz w ostatnich wyborach samorządowych.

Książka Juliana Strykowskiego jest ilustracją tezy leninowskiej świetnie przeprowadzoną na przykładzie jednej wsi kalabryjskiej, a w planie węższym na przykładzie ewolucji jednostki, bohatera fabularnego utworu — Salvatore Lo Meo. W zasadzie treścią książki jest walka wsi Rocca di Zolfo o porzuceniu odległości, a należąca do posiadłości barona Berlingieri kołtine Fragala. W owym czasie, jak wiemy — jesienią 1949 — najemnicy i chłopci zajęli na południu Włoch ponad 100.000 hektarów ziem obszarńczych, a w akcji tej wzięło udział blisko sto tysięcy ludzi. W tym samym czasie w jednej z prowincji środkowych w dołach największych z magnatów włoskich (40.000 ha) księcia Torloni 10.000 najemników poddało intensywną uprawę olbrzymie terytorium leżące od niepamiętnych lat odlegiem. Powieść odmalowuje zatem epizod doniosły i oparty na faktach obiektywnej rzeczywistości. Ale na tym autor nie poprzestaje — ukazuje przemianę człowieka. „Czas znajduje swoich ludzi” — mówi Armado, sekretarz miejscowej organizacji partyjnej. Słowa te są jakby punktem węzłowym powieści. W nich przecinają się wszystkie wątki, zbiegają naczelnie elementy utworu, one wyznaczają drogę wyznurania się i rozwoju świadomości klasowej u Salvatore. Analizując ten proces rzutuje Strykowski na szeroko rysowane tło, odsłaniając przed nami całą budowę i cały mechanizm społeczności wiejskiej, linie podziału klasowego, sprzeczności rzeczywiste i pozorne, dążenia i pragnienia jednostek i kierunek rozwoju zbiorowości. Zbiorowości węższej, miejscowej, oraz szerszej — narodu. W ten sposób powstaje rozległa perspektywa, z której wyłania się głębsza treść książki — obraz narodu w walce, obraz Włoch na drodze prawdziwej jednolitości, tworzonej przez narastającą coraz gwałtowniej falę rewolucyjną.

Obraz trafnie oddany

Julian Stawiński

*) Julian Strykowski, „Bieg do Fragala”, „Czytelnik” 1951.

TADEUSZ ORLEWICZ

INDIE — KRAJ GŁODU, WALKI I NADZIEI

INDIE, kraj, w którym mieszka nieomal jedna piąta ludności globu. Według oficjalnych danych rządowych zginęło tam w r. 1942 i 3-im z głodu 2 miliony ludzi. W rzeczywistości, co najmniej 3 miliony 500 tysięcy.

„Któżśoś dnia, jeśli Północ pamiętało dobrze, było to rano wiosną, jakiś samotny wiozłoga na zachodnim wybrzeżu potknął się i upadł, by nie powstać więcej. Umarł z głodu, tak podawały gazety, a krótka notatka przeszła niemal niezauważona. Cóż, zwykły żebrak. Nikt nie domyślał się wówczas, że śmierć żebraka była ostrzeżeniem, symbolem nadchodzących czasów. Inni mężczyźni padali i umierali. Potem kobiety. Wreszcie dzieci. Mężowie i synowie próbowali obronić przed głodową śmiercią swoich najbliższych w domu, ale próżno byli ich rozpaczliwe wysiłki. Ginęli wszyscy wspólnie”.

W miastach umierający, którzy leżeli bezładnie na zmytych mousonowymi deszczami chodnikach, nie byli przyjmowani do szpitali — przepisy zabraniały łóżka na sali chirurgicznej, który nie był chory, a tylko umierał, bo miał pustkę w brzuchu”.

Na wsi: „mężczyźni doprowadzeni do rozpaczliwych granic opuszczali domy pracojów i szli na poszukiwanie żywności; czepiali się buforów wagonów, jechali na rozpalonych w słonecu dachach, lecz policja położyła kres tym jazdom. Wówczas mężczyźni wylegli na drogi i łąki — dziesiątki tysięcy wiejskich strumieni płynących w kierunku stolicy”.

Po drodze marli z wycieńczenia głodowego, rozszarpywani za życia przez szakale. „Trupy leżały tuż przy drodze, stłoczone jeden obok drugiego. Obrane z ciała do kości, z pustymi ocozołami, z gnijącymi strzępami skóry i mięsa na nosie, brodzie i żebrach, z rozpalanymi czaszkami; tylko włosy były nienaruszone — miękkie jak puch włosy dziecka, włosy mężczyzny, długie po pas włosy kobiety. Rodzina zapadła w sen. A we śnie czuły na nich sepy”. Wraz z psami i szakalami odgrywały rolę jedynych sanitariuszy na wielkich przestrzeniach bogatych, ogromnych Indii.

O tragicznych dniach głodu mówi powieść młodego pisarza hinduskie-

go, Bhabani Bhattacharya*). Ten głód, jak wiele przed nim i po nim, nie był wynikiem kary bogów czy klęski nieurodzajów. Był dziełem kolonialnej polityki angielskiego imperializmu. Jest też powieść Bhattacharyi celnym oskarżeniem tego imperializmu, całego aparatu wyzysku i eksploatacji, skonstruowanego przez angielskich kolonizatorów na żywym ciele narodu hinduskiego.

Czy angielscy kolonizatorzy sami bez żadnej pomocy od wewnątrz uprawiali tę grabież? W sukurs przyszła im hinduska burżuazja. Bhattacharya ukazuje tych pomocników angielskiego imperializmu — kupców i urzędników, wiejskiego spekulantów, szakala w ludzkim ciele, chciwego gieldziarza Samarendra stawiającego na „wszechpotęgę” Imperium, spekulanta na ogromną skalę — sir Alabandhu, który zarabiał równie dobrze na ryżu, jak na domach publicznych, zapachanych spędnymi bitem głodowej śmierci kobietami hinduskimi. Oni, tak jak policja strzelająca do bezrobotnych, jak żołnierze odbierający rybakom łodzie, wykonują politykę administracji angielskiej, która ludu hinduskiego nazywa krótko: **Niegodziwa Rzecz**.

Ta Niegodziwa Rzecz sprawiła, że „przecież my wszyscy znajdujemy się w jednym ogromnym więzieniu, całe czterysta milionów mieszkańców Indii”. Ta Niegodziwa Rzecz sprawiła, że za murami więzień przebywało „sześćdziesiąt tysięcy kobiet i mężczyzn, a większość stanowili wieśniacy. Tysiąc padło od kul, dwukrotnie więcej odniosło rany. Wielu zawiśło na szubienicy po śpiesznie przeprowadzonym dochodzeniu”. I przeciw Niegodziwej Rzeczy wymierzona jest powieść Bhattacharyi.

Autor operuje szerokim tem społecznym, potrafił sugestywnie wykazać narastanie walki o wyzwolenie Indii spod kolonialnego władztwa, widzi ogrom nędzy i zacofania wsi w swojej ojczyźnie. Umie ująć w ostrych i trafnych obrazach różne warianty wyzysku. Potrafi ustami weterana ruchu Kongresu Narodowego określić minimalny program agrarny dla wsi Indii. Rozumie, że w oczach całej hierarchii wyzyski-

waczy: „chłopi nie byli ludźmi; byli jak żyła węglą, z której wydobywano węgiel dla zysku nie bacząc na jej wyczerpanie”. Nie szczędzi wodów okrucieństwa Niegodziwej Rzeczy, rozkładu moralnego świata wyzysku i grabieży, do którego zalicza zarówno angielskich najędźców jak i przedstawicieli miejscowej burżuazji.

Ale autor oskarżając angielskich władców czyni to z pozycji sympatyka ruchu Kongresu Narodowego, z pozycji zwolennika ruchu burżuazyjnego, którego przywódcę pośpiesznie odznęł się od swoich demokratycznych programów w momencie uzyskania z rąk Anglików „niepodległości” Indii. Bhattacharya mówi ze szczególną czułością o Dewacie, reprezentancie gandhizmu, który swoimi hasłami niesprzeciwiania się złu hamował narastanie huraganu gniewu ludu nad wielkimi Indiami. Swemu głównemu bohaterowi każe ograniczać się do współzycia z niedolą ludu i działań filantropijnych. Więcej nawet — każe występującym w powieści chłopom myśleć według wzorów Gandhiego, tak jakby ten sposób rozumowania był jedynym, typowym dla ogromnej masy 280 milionów chłopów Indii. Rosnący w sile i w liczbie ruch narodo-wo — wyzwoleni-ego ludu hinduskiego pod przewodem proletariatus i jego awangardy — partii komunistycznej, został w powieści zagubiony, w lawinie zdarzeń, potraktowany marginesowo. Reprezentując go Kiszore, robotnik z zakładów włókienniczych, który wypuszczony z więzienia gnie zastrzelony przez Anglików, gdy rozpoczął swoją wędrówkę za pracą. I tyle tylko o proletariatus. A przecież sam autor pisze, że „burżuazja narodowa zmierzła nie do wyzwolenia „swego narodu” od ucisku narodowego, lecz do wolności wyciskania z niego zysków, wolności zachowania swych przywilejów i kapitałów”.

przecież w Indiach narasta od dawna walka proletariatus hinduskiego, świadoma i kierowana, walka pod sztandarami niepodległości i wolności od obcych i rodzimych wyzyskiwaczy. W roku 1945 — 820 strajków z udziałem 750.000 robotników. W roku 1946 — 1.629 strajków i 4 miliony strajkujących. W ciągu lat 1949 — 1952 toczyła się walka strajkowa we wszystkich ośrodkach przemysłowych In-

dii. W Bombaju strajkują 300.000 robotników, kilkaset tysięcy w Kalkucie.

A równocześnie rośnie i dojrzała w swoim radykalnym rewolucyjnym wyrazie ruch chłopski. Na południu Indii i w Kaszmirze kwestia chłopstwa wiąże się jak najściślej z kwestią narodową. W Telenganie chłopci zagarniają ziemię obszarńców i w trzech tysiącach wsi z ludnością powyżej 5 milionów mieszkańców tworzą komitety ludowe i uzbrojone oddziały samoobrony. Na czele ruchu stają komunisty, urzeczywistniając sojusz klasy robotniczej z chłopstwem przy kierownictwie roli proletariatus. W Pakistanie zagarniają chłopci ziemię zbiegłych z Pakistanu obszarńców hinduskich.

Rosnie w Indiach front ludowo — demokratyczny. Partia komunistyczna w ostatnich wyborach na czele grupowań lewicy zdobywa poważną ilość mandatów. Są okręgi, w których komunisty zdobywają zdecydowaną większość mimo taktów wybo-raznych aparatu Pandita Nehru. Dziś Kongres nie ma przeciwko sobie żadnej partii o narodowym znaczeniu tak silnej i tak rosnącej w siłę, jak partia komunistyczna. Nawet konserwatywna prasa brytyjska musi przyznać, że „mimo prób Kongresu ściągnięcia związków zawodowych pod swoje skrzydła, sfederowane związki, kontrolujące całą siłę roboczą w przemyśle i transporcie, pozostają całkowicie pod wpływem komunistów”. I dodaje: „program agrarny komunistów jest dla chłopów hinduskich bardzo atrakcyjny”.

W powieści Bhattacharyi te doniosłe fakty tylko ubocznie dochodzą do głosu. Ale choć niedomówioną zaczynają pod koniec akcji grać pełną gamą. „Imperialiści patrzą przychylnie na nasze dziedzictwo duchowe, naszą zaświatowość, ponieważ dzięki niej właśnie mogą spokojnie rządzić, podczas gdy nasze oczy utkwione są w zaświatach. Gdybyśmy mieli przyjąć materialistyczny pogląd na świat, naszych władców ogarnąłby niepokój. A tak się stać musi” — mówi jeden z przedstawicieli hinduskiej inteligencji w utworze Bhattacharyi. A kiedy bohater powieści, uczonej — filantrop zostaje aresztowany autor przypomina: „Wolność nie spadnie sama z nieba, ani nie uda się jej otrzymać na ża-

danie z krajów za morzami; tylko tutaj, na rozległych ugorach cierpienia i walki, zakwitnie jej kwiat, wyrosły z nasienia ducha. Zakwitnie czterolistny lotos, kwiat ludu”. A więc już nie hasło niespreczewiania się złu, nie filantropia, lecz walka, bo „im mocniej zaciskają się kajdany, tym słabsze stają się pęta”; walka ludu o ludowe, niepodległe Indie.

I dziś Indie nabrzmiewają zbliżającym się huraganem gniewu ludu. Niemal sto lat temu pisał Marks, że w Indiach tkwi zwierzęce — prymitywne kult przyrody, „którego upodlenie znalazło wyraz w tym, że człowiek, władca przyrody, padał pobożnie przed małpą Hanumanem czy krową Sabala”. Na tym żerowali rządzowie i cała drabina uprzywilejowanych kast, a później — imperializm brytyjski. Nowa burżuazja wydzwignęła Gandhiego z jego teorią niespreczewiania się złu, z jego kolodrokiem i kozą. Wyniosła Pandita Nehru, paktującego z krwawym imperializmem amerykańskim i równie bezwzględny jego starszym krewnym, brytyjskim. Bierność ludu hinduskiego miała być dogodnym tworzywem dla nowych baz wyzysku. Małpę Hanuman miał po funkcję sterlingu zastąpić dolar, krowę Sabala — burżuazyjny rząd „wolenego” Hindustanu; byle nadal bezkarnie grabić kraj, ziemię i ludzi. Ale miły bezpownotnie dla Indii czas bierności.

Lud, w którym wpajano gandhizm, byle zachować burżuazyjny stan posiadania, byle unicestwić żądanie reform gospodarczych i społecznych, potrafił przyjąć program Komunistycznej Partii Indii za własny, gdyż program ten wyrósł z istotnych potrzeb narodowych i społecznych 400 milionów, a wspiera go zwycięski przykład walki i pracy narodów radzieckich, wspiera zwycięski przykład Ludowych Chin, stojących od tybetańskiej granicy u progu półwyspu indyjskiego.

Minął złowrogi rok 1943, opisywany przez Bhattacharyę. Ale oto rok 1944 — znowu tysiące i miliony zmarłych z wycieńczenia głodowego. Wraz z postępującą dalszą pauperyzacją ludności wiejskiej, coraz większą, niemal niewolniczą zależnością od wierzycieli — lichwiarzy, którzy na głodzie mas żerowali jak szakale, głód bije w nowe miliony. W ro-

ku 1951 wielkie głodowe rozruchy. Wracała potworność roku 1943. Jedynie pomocy Związku Radzieckiego i Chin Ludowych głodni Hindusi zawdzięczają wydarciu milionów istnień z objęć śmierci. „Times of India” pisze, że w roku 1952 znowu zabraknie 77 milionów ton żywności.

A przecież w samym tylko Bengalu „z jego sprzyjającym klimatem, obfitością słońca, ciepła i wilgoci można — jak pisze M. Dunin w „Nowych Czasach” — trzy i cztery razy rocznie zbierać plony i produkować taką ilość zboża i upraw, która wystarczałaby z nadwyżką co najmniej dla dwóch, trzech krajów o takiej samej liczbie mieszkańców”. I oto w takich warunkach naturalnych „w najwyższym stopniu sprzyjających uzyskaniu rekordowych zbiorów ryżu i trzciny cukrowej, kajanusa (cena na roślinę strączkową, używająca glebę, służąca jako pokarm dla ludzi i pasza dla bydła), rozmaitych odmian sorga i wielu innych upraw zbożowych i przemysłowych (juta, bawełna) „w tych warunkach chłop hinduski zbiera 5 razy mniej pszenicy niż chłop w Anglii, 5 razy mniej ryżu niż biedny fellah egipski, 6 razy mniej bawełny niż w najgorszych latach na bez porównania gorzej ziemi, zbiera średni plantator w USA. W kraju ogromnych bogactw i wspaniałej gleby 65 proc. umiera z głodu, osiągnie 30 rok życia, a co drugi zmarł to dziecko poniżej 10 lat. Czy można się temu dziwić, skoro jak pisze Bhattacharya: „dochód dzienny mieszkańca Indii wynosi poniżej dwóch anna na głowę”. Anna zaś to ledwie jedna szesnasta rupii, a za rupię można nabyć jedynie dwie garście ryżu. Nie można się dziwić skoro miliony funtów i dolarów płyną do kas Wall Street i londyńskiej City, skoro 80 proc. ziemi uprawnej trzymają w swoich rękach obszarńcy, a miliardowe skarby są nadal udziałem maharadzów i książąt, z którymi w grabieży konkuruje dziś skutecznie nowa, wielka burżuazja hinduska, prowadząca pod rządami Pandita Nehru politykę ucisku narodowego.

Jasnym też jest, że bez likwidacji księstw, wielkiej własności obszarńców, bez nacjonalizacji wielkiego przemysłu i to nie tylko należącego do kapitału zagranicznego lecz również do rodzimej burżuazji, a więc

(dokończenie na str. 3)

*) Bhabani Bhattacharya. „Tak wiele jest głodów”. Warszawa, 1951. Książka i Wiedza, str. 239. Tłumaczenie: Krystyna Tarnowska.

JERZY KARPIŃSKI

U SPÓŁDZIELCÓW W NIECZAJNIE

CALODZIENNA, jak za plu-
giem, wędrowka po spół-
dzielczych polach, po za-
grodach przyzgodowych,
ciekawie zagłębienie do
obór, chlewni, magazynów,
spichrzy, do chałup gospodarskich
nawet dało się wszystkim porządnie
we znaki. Pod wieczór każdy był już
tak przemęczony, że nikomu nie
chciało się postąpić ani kroku dalej.
Nikomu też nie uśmiechało się sie-
dzieć w schludnej co prawda, ale
bądź co bądź dusznej o tej porze
świątecznej. Rozłożyliśmy się więc ca-
łą gromadą wprost na trawie, w
cieniu przydrożnych drzew. Gdyby
tak komuś przyszło w tej chwili do
głowy sfotografować cały zespół, to
oprócz tego na przedzie zaizolowa-
wanego obozowiska uchwycił by
musiał na kliszę stupek (w środku
ludzkiego koła) z tablicą:

**Rolniczy Zespół Spółdzielczy
im. ks. Piotra Ściegiennego
w Nieczajnie, pow. Oborniki.**

Pogawędkę rozpoczął przewodnik
wycieczki Godlewski: — Pokazali-
śmy Wam towarzysze wszystko co
Was interesowało, co było do obej-
rzenia. Teraz kolej na Was. Wypytuj-
cie się, dzielcie się wrażeniami.
— Prosimy obywateli — zachęcał
Najdek, przewodniczący spółdzielni.
— Łatwo im tak przemawiać — my-
śli Aniela Kisz, mała dziewczynka
z rzeszowskiego — gorzej nam, na
gorąco wypowiedzieć wszystko co

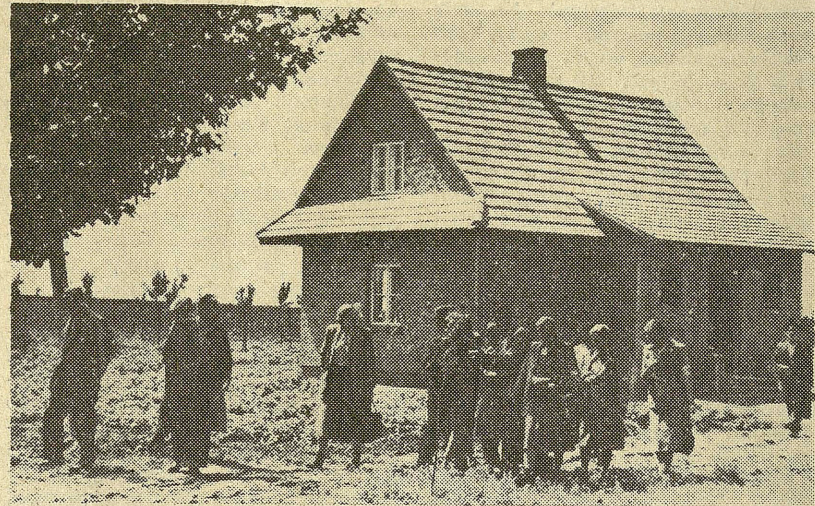


Foto — M. Kornicki

wodniczącą Koła Gospodyń Wie-
skich i działaczkę Stronnictwa Lu-
dowego, to musi wszystko dokumen-
towanie zbadać, zapisać, ażeby po po-
wrocie opowiedzieć całą prawdę i na
każde pytanie być gotową.

— Jedź sasiadko — mówili — roz-
glądaj się na wszystkie strony, nie
daj się, aby przechrzyć, a jak to
co zobaczysz będzie dobre, będzie się
zgadzało z tym co o tych spółdziel-
niach w gazetach wypisują, kto wie,
może i w naszej wsi do wspólnego
pójdziemy.

— Mój Boże — wzdycha Aniela —
nasza wieś, nasz Borchów, gdzieś w

Zaprowadził ją do swojego starego
mieszkania (w domu akurat było
pranie, znać, że się na przyjazd go-
ści specjalnie nie przygotowywano),
pokazał ceglane podłogi w „pokoju”.
— Patrzcie — objaśniał — pamiętka po
hrabiowskich porządkach; siedem
osób w jednej ciasnej i wilgotnej iz-
bie. — Zaciągnął później na nową par-
celę. Oproszował po nowym budo-
wanym domku, do którego za kilka
dni wprowadzi rodzinę. Domek
wspaniały, nawet marzyć o takim nie
śmiała. Trzy starannie wymalowane
pokoje, kuchnia, piwnica, elektrycz-
ne światło, a na dachu dachówka
kryta oborka.

W rozmieszczeniu Aniela Kisz trafił
przewodniczący spółdzielni. Jak gdy-
by odgadł nad czym się w tej chwili
zadumała. — Wybudujemy z obu
stron drogi, obok pola z rzepakami,
dwadzieścia jednorodzinnych dom-
ków, postawimy już trzy takie.

Hulak Józef z Dzikowa Starego
zaczekał się, na jakich warunkach
można taki domek nabyć. Przewod-
niczący tłumaczy: — „Spółdzielca
otrzymuje od Państwa pożyczkę 24
tysięce złotych. Przez pierwsze sześć
lat nie spłaca tego kredytu, po sześć-
ciu latach oddaje Państwu po ty-
siąc złotych rocznie. — No, dobrze, a
dacie radę co roku z tymi tysiącami? —
przerwa znowu Hulak. Odpowia-
da z boku byrader Polus: „Sprzedam
tylko jednego bekona i już mam
potrzebny tysiąc. W tym roku zakon-
traktowałem dwa, a i tak potrafiłem
zabić świniaka na Gwiazdkę i na
Wielkanoc dla siebie”.

Hulakowi jeszcze to nie wystar-
cza. — No, a powiedziecie mi ludzie,
co będzie, jeśli taki co sobie dom
wybudował wystąpi ze spółdzielni? —
Spytacie się najpierw, kto będzie
chciał wystąpić — krzyży Polus —
ja, do tego nie będę nigdy miał ochoty.
Teraz jest mi dobrze, a dawniej nie
miałem, tylko musiałem harować
jak ten wół.

Aniela wraca do swoich rozmy-
ślań. Ciekawa była, ile też ten Ko-
wałak zarabia na wspólnej gospodar-
ce. — „Oho, rachujcie gospodni —
diesz” — zachwycę się. Miejsce
krańcowa z zadowolenia. — „A na
początku mieliśmy tylko siedem, dzi-
siaj 130 stoi w spółdzielczych obo-
rach, a indywidualnych mamy 80,
każda rodzina co najmniej dwie”.
— „Ja sam — wtrąca Polus — od-
stawiłem dwadzieścia litrów mleka
dziennie do mleczarni”.

wyjaśniał. — Wyrobiłem w ostatnim
roku czterysta dwadzieścia dniówek.
Otrzymałem za to ze spółdzielczego
podziału — zapisując — 15 kwintali
żyta, 6 pszenicy, 6 jęczmienia, 30
kwintali ziemniaków, 20 kwintali
buraków pastewnych, 6 metrów
drzewa, 40 kwintali węgla i 1400 zło-
tych gotówką. Chcecie wiedzieć
jak żyję? Patrzcie, koło nowego do-
mu mam działkę, pięćdziesiąt drze-
wek owocowych rośnie w moim sa-
dzie, na przyzgodowym gospodar-
stwie chowają się dwie krowy i cie-
lak, cztery świny, trzy warchlaki;
a ile mamy kur, gęsi i kaczek, to już
spytajcie się o to kobiety, ja się tym
nie zajmuję”.

Aniela zanotowała sobie dokład-
nie cały rachunek Wojciecha Kowa-
łaka. Powtórzy go sąsiadom po po-
wrocie do domu. „Dobrze — szepce
sama do siebie — dużo ziemi, pra-
cowici ludzie, zapasy na strychach,
radio w chałupie, elektryka, przed-
szkole, widać że jest dobrze”.

Sobczyszyn ze Starego Dzikowa
wypytuje o spółdzielce krowy. „U-
nas w całej okolicy takich nie znaj-



Foto — M. Kornicki

— zachwycę się. Miejsce
krańcowa z zadowolenia. — „A na
początku mieliśmy tylko siedem, dzi-
siaj 130 stoi w spółdzielczych obo-
rach, a indywidualnych mamy 80,
każda rodzina co najmniej dwie”.
— „Ja sam — wtrąca Polus — od-
stawiłem dwadzieścia litrów mleka
dziennie do mleczarni”.

Coś się z początku Aniela z tymi
krowami nie podobało. Wyraziła
nawet głośno swoje wątpliwości: —
„Co, 130 krow i tylko czterech ludzi
obsługi? Przecież od udoju można
raczej stracić”. — Próbowała radzić
spółdzielcom, ażeby sprzedali część
bydła i kupili sobie mechaniczne co-
jarki. Przekrzyknęli ją. „Niedługo,
mamusi, niedługo i będzie zatrud-
mamy i dojarki będą, krowy zaro-
biają na maszyny”.



Foto — M. Kornicki

Dyskusja coraz bardziej odrywa
od rozmyślań. Franciszka Marczako-
wa, kierowniczka chlewni, chwali
się swoim dobytkiem: „Kiedy za-
kładaliśmy spółdzielnię, pusto było w
naszym chlewie, dzisiaj siedemdziesiąt
siedem świń raduje gospodar-
skie oczy. Widzieliście, jakie spasio-
ne. Na wystawę mogą iść. A musi-

dać sobie radę z przerywaniem. Ku-
sa trzymała stronę spółdzielców...
Ale jak oni to robią, przecież ludzi
w spółdzielni nie za dużo, a buraków,
zboż, paszy, rzepaku — szmat.

— Teraz już, ani na rozmyślanie,
ani na zapisywanie nie było czasu.
Wespole gości i spółdzielców roz-
prawiano o maszynach. Rozpoczął
Franciszek Śliwa z Koziejówki (z
tego samego co i Kiszowa powiatu).
Śliwa z ołówkiem w ręku zaczął o-
bliczać, ile korzyści dają spółdzielni
maszyny. Przewodniczący wyjaśniał:
„Gdybyśmy na przykład chcieli ob-
sadzić rocznie 50 hektarów kartofla-
mi, zużylibyśmy na to ze sto dniów-
wek po 16 złotych, czyli wydaliśmy
około 2000 złotych. Te sumy za-
oszczędziliśmy nam maszyny. Spółdziel-
cy to odczuwają, bo po pierwsze nie
narobili się tyle, a po drugie zwięk-
szyła im się dniówka obrachunko-
wa”.

Śliwa trafnie ocenia wartość ma-
szyn: „mniej pracy ludzkiej — więk-
sze urodzaje”. Przewodniczący tłum-
aczy dalej: „W naszej spółdzielni
nastawiamy się na to, żeby 80 pro-
cent pracy przerzucić na maszyny,
20 procent zostawiamy dla ludzi.
Byłem niedawno w Związku Ra-
dzieckim, radzę i Wam tam poje-
chać, dopiero będzie zobaczyli co mo-
gą zrobić maszyny”.

Zaczęliśmy raz jeszcze podziwiać
widziane w Nieczajnie nowoczesne
maszyny z polskiego POM-u: ol-
brzymi, imponujący kombajn, no-
wiutkie sadzarki do kartofli, ma-
szyny do okopywania, do pelenia i
wszystkie inne, których nazwy i
przeznaczenie trudno spamiętać.
Rzeszowski kobiet już naprzód cie-
szyły się myślą, że takie same ma-
szyny ulżą w ich ciężkiej jeszcze
dzisiaj pracy.

*

Słońce chyliło się już ku zachodo-
wi, kiedy opuściliśmy gościnną
spółdzielnię. Zza okien autobusu
mignęły nam na pożegnanie olbrzy-
mie litery, układające się na wia-
traku kombajna w zdania: **Pracuje-
my dla Ojczyzny, pracujemy dla po-
koju.**

Jerzy Karpiński

Indie — kraj głodu i walki

(dokończenie ze str. 2)

bez konsekwentnej, zorganizowanej
walki o demokrację ludową niemoż-
liwe jest pełne wyzwolenie Indii.
Na obecnym etapie nie tylko feuda-
lowie, lecz również i wielka burżu-
azja Indii przeszła bez reszty do obo-
zu imperializmu tak, jak to się
działo w Chinach kuomintangow-
skich, jak to się dzieje w Bur-
mie, w Indonezji, w Indochi-
nach, na Filipinach. Dziś już kie-
rowniczą siłą do pełnego wyzwolenia
Indii jest hinduska klasa robotnicza
z partią komunistyczną na czele, jak
w Burmie, w Indonezji, w Indochi-
nach. Podstawowym sojusznikiem
klasy robotniczej w tej walce jest
chłostwo. I chłopstwo podejmuje
wielką walkę, która także i w
Indochinach przemienia się w pow-
stania: o ziemię dla chłopów bez
odškodowania, o anulowanie dłu-
gów chłopskich, o dogodny kredyt
na zakup narzędzi rolniczych i nie-
zbędnych nasion, o budowę nowych
urzędów nawiązujących, o demo-
kratyzację ustroju Indii, o zniesie-
nie obszarnej własności ziemskiej
i nacjonalizację podstawowych gałęzi
przemysłu. To program 400 milio-
nów ludzi, wyrwanych z przemo-
dą, reprezentowanej przez małe
Hanuman i krowe Sabala, program
Komunistycznej Partii Indii. A „wy-
zwalenie Indii spod jarzma imperia-
listów brytyjskich, ich agentów i ko-
laborantów — jak pisze sekretarz
generalny Komunistycznej Partii
Indii — będzie dla narodów świa-
ta równie wielkim zwycięstwem, jak
zwycięstwo narodu chińskiego, od-
niesione pod przewodem okrytej
chwałą Komunistycznej Partii Chin.
Nie ulega wątpliwości, że wyzwol-
my wolność i to znacznie szybciej
niż wyobrażają to sobie nasi wrogo-
wie”.

Legenda angielska powiada, że
Imperium Brytyjskie ma trwać do
Elżbiety do Elżbiety. Gdy wierzyć
samej legendzie, dni tego Imperium
są już policzone. Ale nie trzeba le-
gendy. Większa wymowa mają fak-
ty, przesadzające o losach tego i in-
nych „imperii” w epoce, w której
wszystkie drogi prowadzą do komu-
nizmu. Fakty, które mnożą rosnąca
na siłę walka narodowo-wyzwolen-
cza ludów Indii pod przewodem kla-
sy robotniczej. Fakty mówiące do-
bitnie, że nie są odległe już dni, w któ-
rych na odrodzonych kontynencie
azjatyckim obok wielkich Chin Lu-
dowych powstają wolne Ludowe
Indie.

Tadeusz Orlewicz

FRANCUZ PRZEMAWIA DO FRANCUZÓW

„I gdzieś w tym racja jest głęboka,
Gdy moczysz wzywa przed trybunał
Pięsnarza ludu lub proroka:
Bo oto strzała mściwej kary
Przebijająca pierś ofiary
Na wstrząs przebiega mrok prastary,
Błyskiem wskazując, gdzie OPOKA.”

JULIAN TUWIM

LOUIS ARAGON

FRANCUZ PRZEMAWIA DO FRANCUZÓW

KOMITET Narodowy Pisarzy,
a wraz z nim liczni ludzie
pióra wzniesli swój protest
przeciw gwałtowności sprawiedliwości,
znieważeniu godności człowieka i
godności pisarza. Dzienniki amery-
kańskiej metropolii, skąd płyną
rozkazy dla rządu zwanego francu-
skim, oświadczają, że Stil został
aresztowany, ponieważ otrzymał
nagrodę międzynarodową analogi-
czną do nagrody Nobla — Na-
grode Literacką Stalina za powieść
P i e r w s z y C i o s.

Trzymanie André Stila w wię-
zieniu jest zniewagą Republiki i
Francji. André Stil musi być zwro-
cony swym bliskim. André Stil
musi odzyskać swobodę słowa. Ina-
czej każdy Francuz, każdy pisarz,
każdy dziennikarz będzie zagrożo-
ny przez samowolę, będzie na tas-
ce byle Robineta i byle Brune’a.

Nie wiedząc jeszcze o postano-
wieniu uwalniającym Jacques Du-
clos, André Stil w odpowiedzi na
artykuł François Mauriac napisał
z więzienia wielki, wspaniały list.
W międzyczasie François Mauriac
oświadczył w tym samym *F i g a r o*,
o, gdzie sąsiaduje z denuncjan-
tem: *R u c h O p o r u i N a r ó d*.
Tak, Mauriac, tak jest
istotnie. Ruch Oporu, dziś tak jak
wtedy, oporu dyktatowi okupanta,
oporu w obronie niepodległości
Francji i pokoju świata — to Na-
ród, którego głos usłyszeli
sędziowie izby oskarżeń, a jej prze-
wodniczącą sam dzisiaj jest z tego
właśnie powodu zagrożony. Naród,
który poznał swoich po ich czyn-
nach, Naród, który połączył na
zawsze d’Estienne d’Orvesów i Gu-
brieliów Peri i który dziś żąda wol-
ności André Stila od tych, co
gwałcą Konstytucję, przywracają
ustawę Vichy, marzą o pozłoceniu
gwiazd zdradcy Pétaina świętymi
popiołami zmarłych bohaterów,
wydają Ojczyznę sklepikarzom

FRANCUZA W OŁA

Jankesów, ich generalom i brunat-
nej dżumie.

Nie wiem, czy Mauriac ustyszy
ów głos, co płynęło z więzienia, a
brzmiał głosem Francji, ów głos
mówiący tak mową francuską, na któ-
rą pisarz nie może być nieważli-
wy. A głos ten zwraca się jedno-
cześnie do ciebie, do tego ciebie,
którego miałem odwiedzić w 1941,
Duhamelu, oraz do ciebie, którego
uważałem za mojego przyjaciela,

ANDRÉ STIL więzień stanu

DO FRANÇOIS MAURIAKA NA TYMCZASOWEJ WOLNOŚCI

NA łamach *F i g a r o* na-
pisał pan artykuł o repre-
sjach przeciw komunistom. Na-
pisał pan na tym samym miejscu,
gdzie w przeddzień mego aresztowa-
nia, p. Robinet zapowiedział je i
przygotował — w postaci rady dla
rządu.

A zatem, pisząc o zbrodni, czyni-
to pan w obozie katów. To jasne.
Ale oboz katów ma swoje punkty
slabe, a i pan również nie czuje
się wcale mocnym. Kaci mienią, czy
też ci, co myślą że są mocni, za-
stępują nie na pogardę, lecz na
nienawiść. Otóż w panu nie ma
uczucia, by na nienawiść zastąpił.
Co zaś do pogardy, uznaniem jakim
darzył pana naród cały przez cały
długi czas za jedno proste zda-
nie — „Jedynie klasa robotnicza
masie swej pozostać wierna Fran-
cji sprofanowanej” — zapewne na-
suwa panu myśl, że jak długo
klanra pańskiego życia nie została
domknięta, ma pan zawsze możli-
wość taniego okupu; że jutro wy-
starczy panu nowe dość gładkie
zdanie, by w oczach tego narodu
zachować uczciwość. Gdy sam pan
wie najlepiej, że w dobre urzą-
dzonej sprawie, który patrzy przed
siebie, nie zaś poza siebie i gdzie
nadzieja i zapłat liczą się zawsze
bardziej, aniżeli uraza, drobnym
uczynkiem dzisiejszym okupił m-
na wiele złta wczorajszego. Oto
dlaczego w swych antykomuni-
stycznych przyjacielu budzi pan
czasem podejrzenie, że na spóźnie
gdzieś na samym spodzie, mniej
pan się boi przyszłości komuniz-
mu, niż krawców staroś i swo-
jego świata — pan, który tak do-
brze wie jak pewien sposób starze-
nia się czyni pełnym złości. A nie-
które zdania, jakie nie tak dawno
napisał pan o Piotrze Courtade, o

André Rousseaux, i aż do ciebie,
Malraux... Czy jeszcze słyszycie
głos Narodu, głos Ruchu Oporu?
André Stil w więzieniu, czy i
jest to dla was hańba?

Czy wzniesie się wasze słowo,
wasz lud, na tymczasowej wolno-
ści w tym kraju, naszym kraju,
gdzie nikt już nie jest pod osłoną
prawa i Konstytucji, gdyż decyduje
o nich generał Duma?

Louis Aragon

Roger Vailland, czy Aragonie, każ-
dy przyjacielom pańskim myślę, że
te głośne okrzyki przeciw komuni-
stom wnoszą panu głównie z obawy
posądzenia, iż niedostatek głośno
przebiega. Albowiem represje prze-
ciw komunistom stawiają nie tylko
sprawę „wolności komunistów”, ale
i sprawę własnej wolności, własne-
go życia ludzi takich jak pan.

Tak więc, wielki pisarzu francu-
ski, w miesiącu po samowolnym
aresztowaniu sekretarza najwięks-
zej w naszym kraju partii, partii
komunistycznej, napisał pan — i
historia to zapamięta — sławetny
artykuł. Cóż za artykuł!
Zapamiętać że najpierw należy
co w takiej sytuacji uważa pan za
rzecz najpilniejszą: już od pierw-
szych słów obciąża pan w miarę
swych sił uwiecznionych komun-
stów. Nie przyznając, czyni pan
swoim piórem to, co czyniły piękne
damy z Wersalu, gdy końcem pa-
rasolki wykłuwaly oczy zamordo-
wanych komunistów. Kiedy opłu-
wał pan nieszczęślików, to już by-
ło nieźle; ale płuć na skowany! Cóż
za polemika sepa!

Faktem jest, że istnieje wie-
lubana dyktatorka represji, która
na wielu przykładach, poczynsz
od francuskich, zanalizowała przed-
stu z górą laty wielki bardzo pi-
sarz. Jeśli pan nie ma go w swej
bibliotece, jest pan w czasach o-
becnych zabezpieczony przed jed-
nym jeszcze poważnym ryzykiem.
Gdyby był to Karol Marks, który
wykazał na przykład w jaki spo-
sób partia porządku po skraw-
ieniu proletariatu w dni czer-
cowe 1848 i otwarcia drogi Na-
poleonowi III swą polityką reak-
cyjną była wynagrodzona za to
przez historię: „A w końcu sami
arcykapłani „religii i porządku”

zostają spędzeni kopnięciem za
swoich pytyjskich trójnógów, w
środku nocy wyciągnięci z łóżek,
zamknięci w karetce aresztanckiej
i wrzuceni do więzień, lub zesłani
na wygnanie. Ich światynia jest
zrównana z ziemią, usta zakneblo-
wane, ich pióro złamane, ich pra-
wo rozdarłe — w imię religii, wła-
ności, rodziny i porządku. Piętna
tysiąc żołnierska rozstrzeluje
tysiące na swoich balkonach
nieszczan — fanatyków porządku,
profanuje świętość ich ognisk do-
mowych, bombarduje dla zabawy
ich domy — w imię własności, ro-
dliny, religii i porządku. Aż wresz-
cie odpadki społeczeństwa bur-
żuazycznego tworzą s w i e t ł a
f a l a n g e p o r z ą d k u i
Bohater Krapuliński! wkracza do
tulerias jak zbawca społeczeń-
stwa”.

A potem, za represjami nadciąga
faszizm, nadchodzi wojna. I wów-
czas czyż pan sam, nawet pan, pa-
nie Mauriac, nie będzie jednym z
czterdziestu kilku milionów Fran-
cuzów, którzy w dniu rozbitcia nie
znajdą wyjścia z zapasowego z Fran-
cji? Gdyby zaś pan go szukał — z
pewnością jakiś osobnik o twar-
dych łokciach, nowy Krapuliński,
czy twarogłowy krytyk, specjali-
sta od Salonów Jesiennych i tea-
tru Ambigu, odepchnie z łatwością
pana, intelektualistę, ba! arcyka-
plana — i zajmie pana miejsce w
ostatniej takśowej ostatniego wie-
czoru, tuż przed słynnym fajer-
werkem francuskim zapowiedzia-
nym w programie Fechtelera. I
wtedy — czy widzi pan już bom-
bę atomową nad pana dachem,
wołającą się za i przeciw, na kształt
pańskich artykułów i spadającą w
końcu, znowu na kształt pańskich
artykułów, na pana sąsiada — ko-
munistę?

Nie. Czy pan tego pragnie czy
nie, z wyjątkiem garści calkowi-
tych zdradców, wszyscy Francuzi
niekomuniści — nawet pan —
znajdują się w jednej łodzi z ko-
munistami.

Gdy klasa robotnicza jest trzo-
nem narodu, nie można przyłożyć
siekiery, by nie wstrząsnęło się ca-
łe drzewo. Oto dlaczego, panie
Mauriac, podczas gdy pan kłował
jak w klatkę w swym artykule nie
chcąc widzieć otwartych drzwi, in-
ni pisarze francuscy, niekomuniści
stawali w obronie honoru, trochę
i pana honoru, gdyż wśród nich
jest wielu pańskich przyjaciół.

Protestując w liście do Prezyden-
ta Republiki przeciw aresztowaniu
Jacques Duclos, niewątpliwie ścia-
gnęli na siebie, jakby na potwier-
dzenie mych słów, swoją porcję
grzebu. Tym razem w „Rassemble-
ment” de Gaulle’a znalazł się jakiś
Routang zapowiadający im śledz-
two: „Wasza dziwna skłonność
do służenia zamysłom imprezy sta-
linowskiej zostanie może pewnego
dnia uwyswielona, zarówno jak
względem, którymi powołuje się
światowic z Akademii, p. André
Mauriac, współpracując z organem
literackim Kominformu „Les Let-
tres Françaises”. Nic w tym nie
ma nowego. Już Stendhal mówił o
„owym duchu sprawiedliwości nie
czyniącej różnic i wyjątków, który
markiz nazywał haniebnym jakobi-
nizmem”.

Alle pisarze ci, panie Mauriac,
zajmując odwrotnie stanowisko,
tym samym przyczyniają się do
oddalenia grzebu, którymi się chce
ich zastraszyć. Mogą więc bez ru-
mieńca czytać te słowa Zoli:
„Prawda ma w sobie potęgę, która
łamię wszelkie przeszkody. I, jeśli
się staje jej w drodze, jeśli się na-
wet zdoła zagrzebać ją w ziemi na
jakis dłuższy czas, narasta tam i
wziera tak gwałtowną potęgą, że
w dniu kiedy wybuchnie, wysadzi
wszystko w powietrze. Spróbujcie
dać jej dojrzeć jeszcze kilka
miesięcy pod stołem kłamstwa, lub
też w zamknięciu, a zobaczycie, je-
śli nie przygotowanie przyszłości,
najdonioślejszą z katastrof”.

Co do mnie — jako pisarz ko-
munistyczny uwięziony za napisanie
dziesięciu słów, uznanych naj-
pierw za „wzywianie do zbiego-
wisk” po kilku dniach — za „pod-
burzanie do gwałtu”, po dalszych
kilku dniach — za „zamacz na
bezpieczeństwo wewnętrzne pań-
stwa” — a kto wie czy wkrótce
nie: „zamacz na bezpieczeństwo
zewewnętrzne” — kilku słów uważa-
nych za tak niebezpieczne i groź-
ne, że trzeba je będzie, może, są-
dzić w zamknięciu sądu wojenne-
go — widzę w proteście pisarzy
niekomunistów przeciw aresztowa-
niu Jacques Duclos jedno jeszcze
potwierdzenie naszej wiary w
przyszłość prawdziwej kultury na-
rodowej, bogatej całą wielorako-
ścią narodu.

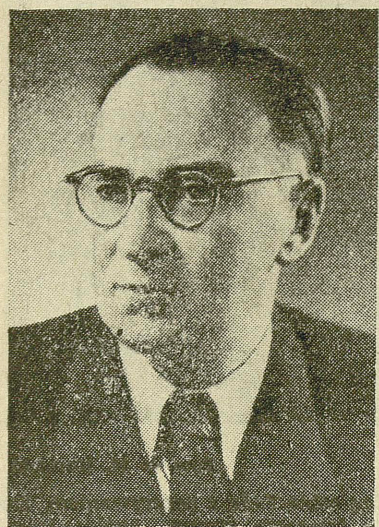
To wszystko.

André Stil

*) Bohater satyrycznego wiersza
Heinego „Dwaj rycerze”.

MARIA ŻMIGRODZKA

WYBITNE OSIĄGNIĘCIE REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO



Igor Newerly

NOWA powieść Igora Newerlego stanowiła doniosłe wydarzenie literackie młodego pokolenia, w których ukazywała się w kolejnych zeszytach „Twórczości”. Nosila wtedy tytuł „Pamiętnik z Celulozy”. Zarówno tytuł jak sytuacja wyjściowa utworu, jak wreszcie zasadniczy typ konstrukcji książki, wskazywały na świadome nawiązanie do jednego z najcenniejszych dla rozwoju współczesnej literatury nurtów piśmiennictwa, do autentycznej biografii człowieka pracy — do robotniczego pamiętnika. Wybór tej formy narracji i sposób ukształtowania materiału literackiego nie są przypadkowe, nie można ich też tłumaczyć wyłącznie wzmożonym zamówieniem na robotniczą autobiografię, rozwinięciem tego gatunku w przełomowej książce Lucjana Rudnickiego, w „Bibliotece racjonalistów”, w PIW-owskiej serii „Wspomnień robotniczych”. Pamiętnik robotniczy to obecnie najpopularniejsza forma masowej ludowej twórczości, głos najlepszej przedstawicieli mas ludowych, wypowiadających ocenę nowego i potępienie starego, wznowszających się do pełnej świadomości klasy zmieniającej świat, umiających we własnych losach dostrzec ślady wielkiego pochodu historii. Fakt, że Newerly oddał głos świadomemu bojownikowi klasy robotniczej, by opowiadał, a jakże często i komentował własne doświadczenia, wskazuje jak wielką wagę przywiązuje do ludowego widzenia i ludowej oceny rzeczywistości tej najwyższej miary realizmu. Powieść nie stała się jednak bynajmniej autentycznym — cennym, porównywalnym bogactwem i prawdą, ale ograniczonym do jednostkowych doświadczeń, pozbawionym szerszych uogólnień. Sugestie takie mogłyby co prawda wypływać ze zmiany tytułu, który w wydaniu książkowym przybrał formę „Pamiętnik z Celulozy” — (czytelniczy odczuł to na ogół jako posunięcie niezbyt fortunne, takie ujęcie sugerują też wstępne wyjaśnienia autora, tłumaczące cel oddawania losów bohatera: „Nie dla rozrywki ani dla sztuki — to jasne, o tym się u nas już mówiło. Pamiętnik po czasach, które przemogły. Dokument, budowała zabytłowość... Książka nie idzie jednak po linii tych niezbyt słusznych postulatów, opartych chyba na jakimś nieporozumieniu słownym. Jej wartość, jej — nie wahajmy się użyć tego słowa — wielkość polega właśnie na tym, że pisana jest dla sztuki, tak jak ją rozumieliśmy — dla mądrej i pięknej sztuki, uczącej rozumieć życie, uczącej rozumnie i szlachetnie żyć.

Cel ten osiągnął pisarz stosując ciekawy typ konstrukcji: wiąże części, ujęte w formę autobiograficznej relacji bohatera z obecnymi i od nich partiami narracji odaterskiej i scenkami rozbudowującymi ważniejsze elementy doświadczeń Szczęsnego. Ta forma bardzo specyficzna i bardzo trudna do naśladownia, grożąca przy każdym potknięciu niebezpieczeństwem maniery w książce Newerlego stowarzyszała z dojrzałym mistrzostwem, otworzyła przed nim nowe możliwości artystyczne. Pozwoliła mu połączyć bezpośrednio, sugestywną żarliwość, liryzm pamiętnika, a także ideową wartość tradycji wspomnień rewolucyjnych od Kona po Rudnickiego, z możliwościami szerokiego epickiego kształtowania obrazu rzeczywistości, jakie daje swobodna forma obiektywnej narracji odaterskiej. Pozwoliło to wreszcie autorowi wprowadzić wiele niedostępnym dla pamiętnika artystycznych środków uogólnienia i komentarza ideowego, specyficznie literackich, dalekich od prymitywizmu wkładek o charakterze publicystycznym.

Niezmiennie bogaty, barwny, wyrazisty obraz świata, jaki dał pisarz równie jak i jego bohater „lepiej w życie”, znający doskonale życie mas ludowych, mający szczególny dar zamykania w oszczędnych skrócie bogate treści obyczajowej, nie traci ostre celowych konturów tematycznych, nie gubi się w rozlewnej relacji epickiej. Urzekające bogactwo faktów i obserwacji podporządkowane jest bowiem naczelnemu sprawie, losom dojrzewania ideowego tego marnotrawnego syna klasy robotniczej. W powieści Newerlego szczegóły nie były w stanie uzyskać autonomii i równowagi znaczenia, ani w zakresie konstrukcji autobiografii, ani w obrazie epickiego zaplecza. Wzajemne oddziaływanie na siebie konstrukcji pamiętnika i szerokiego obrazu epickiego określonego fragmentu dziejów proletariatu

uwidoczniło się w fakcie, że każda z postaci występuje o tyle tylko, o ile związana jest bezpośrednio z losami Szczęsnego i tylko w roli znanej podówczas bohaterowi. Poza Szczęsnym nie ma w powieści innych samodzielnych postaci działających, poza drogą jego doświadczeń nie ma innej drogi zarysowania wiedzy o rzeczywistości. A jednak książka mimo tego ograniczenia konstrukcji zakręciła i doniosła epopeję. Składa się na to w pierwszym rzędzie fakt, że ukazała najgłębszą prawdę opisywanego czasu, jego najdonioślejszy proces — formowanie się nowego człowieka — człowieka bojownika, człowieka mającego zmienić teraźniejszość narodu. Bohatera swego ukazał Newerly w uzależnieniu od najgłębszego nurtu historii, od procesu walki partii, przodującej siły postępu oraz w ścisłym związku z życiem mas pracujących całego narodu. Powieść o partii i powieść o nowym człowieku nie ma charakteru obrazu wąskiego, wycelowanego z szerszego procesu historycznego, sekcjiarskiego, właśnie dzięki bogactwu epickiego obrazowania życia, dzięki umiejętności przełamania ograniczeń konstrukcji wyłącznie autobiograficznej. Współpraca ludowego narratora, opowiadającego o swej zdobyczy w ciągu burzliwego życia prawdziwej i dojrzałej pisarza, łączącego wiedzę o życiu z umiejętnością artystyczną jego ukształtowania i uogólnienia — to szczęśliwe założenie kompozycyjne, których realizacja stała się jedną z przyczyn osiągnięcia ideowo artystycznych „Pamiętnik z Celulozy”.

Szczęśny — jedyny bohater książki, to człowiek, który ma w założeniach autora „starczyć za tysiące”. Założenie to pisarz zrealizował, nadając bohaterowi pełną reprezentatywność w dużej mierze dzięki temu, że zarysował jego możliwą drogę dochodzenia do pełnej świadomości klasowej i do zrozumienia konieczności walki, że nie uczynił z niego bohatera monolitu, przykładnej a nieomyślnej encyklopedii wiedzy politycznej. Szczęśny błądzi po manowcach, odpychany od słusznej drogi dziwnymi perypetiami prywatnego życia, ideową ograniczonością swego półchłopskiego środowiska, naciskiem ideologii burżuazyjnych, własnym porwychem i buntowniczym charakterem.

Historia jego buntów i złudzeń mimo doskonałej i odkrywczej indywidualizacji ma pełną reprezentatywność dla trudnych dróg, na jakich w społeczeństwie klasowym,

wśród konkurencji wrogich idei, w hałasie wrzaskliwej propagandy burżuazyjnej, proletariusz szukać musi właściwego klasowego widzenia świata i właściwej postawy rewolucyjnej.

Ale powrót Szczęsnego do „swolch”, zdobycie jasnej świadomości gdzie jest jego miejsce i jego życiowy obowiązek, to ilustracja procesu historycznego rosnącego napięcia rewolucyjnego mas, ilustracja tezy, że robotnik wrogi kompromisom, uczciwy w stosunku do towarzyszy drogę tę pod naciskiem historii przejdzie czy później znajdzie. Problem społecznego uwarunkowania losu człowieka, symbolizowany obrazem myślnego kamienia, ciśniętego dnianą historią, to nie tylko refleksy młodzieńczych dyskusji z przyjacielem „o wolnej woli” i Spinozą, ale i wytłumaczenie różnych dróg rozwoju przyjaźni z Symbirską — proletariusz Szczęsnego znajdującą drogę do KPP i Jurka — Inteligenta, porwanego początkowo emocjonalnie rozmachem rewolucji, a po powrocie do kraju grzęznącym z wolna w ślepych zaułkach pacyfizmu.

Najcenniejszym chyba osiągnięciem artystycznym Newerlego jest utrzymanie właściwej miary w zarysowaniu postaci Szczęsnego. Miary nie tylko w stosunku między jego typowymi a indywidualnymi cechami, ale i między powszechnością, reprezentatywnością jego odczuć i reakcji, a pięknym i celnym a pozbawionym fałszywego patosu momentem heroizacji, gdy na barykadzie Włocławka Szczęśny staje się prawdziwym bohaterem swej klasy, gdy dojrzała ta natura „walcząca, dumna, bez ugody”, gdy staje się jednym z tych „co wyrastają z mas, są ich wolą, niekiedy legendą... Między niebezpieczeństwami naturalistycznymi, „przebiegnięciem” z jednej a fałszywej idealizacji z drugiej strony potrafił autor wybrać właściwą drogę zobrazowania pełni ludzkiego uczucia bohatera, jego zwycięstw i klęsk, jego mądrości i naiwności, jego siły — i wszystkich jego ludzkich słabości.

Droga Szczęsnego do partii to jednocześnie droga jego dojrzewania duchowego, to proces formowania się pięknego człowieka, wybierającego uczciwą drogę, która pozwoli mu „przeżyć jak człowiek”.

Książka Newerlego to nie jest powieść o partii w tym sensie, aby dała obraz najistotniejszych problemów jej działalności, jej wzrostu i rozwoju, upadków i zwycięstw. Z bogatej problematyki związanej ze sprawą KPP w dwudziestolecie międzywojennym wyodrębnił Newerly jedną sprawę: pokazał jak związek ze zorganizowaną walką mas ludowych jest jedyną drogą ocalenia godności ludzkiej człowieka — jak wszystkie inne formy bądź ugody, bądź samotniczego, jednostkowego buntu prowadzą i prowadzić muszą do poniżenia i demoralizacji. Demonstrując tę tezę losy Szczęsnego i losy ludzi, którzy weszli w jego życie, Szczęśny nie rozumiejący rewolucji rosyjskiej pod wpływem małowiedzieńskich badań ojca i legend poręcznika — legionisty o odrodzonej sprawiedliwej Ojczyźnie pielęgnował marzenie o własnym kraju o solidarności i jedności „rodaków” — nawet wtedy, gdy doświadczenia życia w kraju podsuwały natrętnie w to miejsce obraz inny — obraz kulackiego wyzysku w wymarzonem Rzekuici zamiast sielanki obiecywanej przez pamiętkowy dworek, obraz „łazki bezrobotnych” i robotniczych ziemianek w miejsce legend o „Ameryce” we Włocławku, gdzie robotnicy mają się dorabiać własnych samochodów dla robotników. Marzenia o obronie Ojczyzny, o bohaterstwie, o uznaniu „komendanta” i wydzignięciu się z dna poczęły się jednak chwilać gdy bandyta Sosnowski tłumaczył mu parsywą mądrość lumpana: „Nic się nie zmienia. Żyd zostanie Żydem, Polak, Polakiem, biedny przy biedzie, bogaty przy bogactwie, a ty zdechnie przy robocie! Albo bez roboty — tak też można... Kto się pozna na tobie, kto przyjdzie z pomocą. Jeden chyba złodziej — Sosnowski...” Służba wojskowa, bestialskie prześladowania ze strony oficierów i „zupaków”, poniewieranie „o brzoń Ojczyzny” były ostatnim ciosem dla dawno już nadwątłych złudzeń. Widok ludzi zdeprawowanych przez moralność burżuazyjną, sprzedanej chydemu meżowi Zochy Czerwiniakowej, magistra Biernackiego, „duszą z dwa numery za małą”, komisarza z polica sanacyjnej wrastającej w świat bandycki, kazał mu stworzyć sobie mit „człowieka bez rąk”, mit, że można nie krzywdząc nikogo i nie poniżając własnej godności pracą i wytrwałością uzyskać ludzkie warunki życia i usunąć się spod surowych praw walki klasowej. Ten mit roził się właśnie o człowieka godność Szczęsnego o jego niezdolność do opuszczenia gębnionych towarzyszy. Z przydomkiem „bolszewika” opuszczać wszelkie szanse kariery w społeczeństwie burżuazyjnym, przekonując się, że na liberal-

no — humanitarne złudzenia pozwolić sobie można tylko w domu emeryta — prowincjonalnego doktora Chrobotka, albo w stróżówce Babury, dobrego „stareusza z Dickensa”, spokojnego dlatego tylko, że częściej odwiedza ementarz niż żywych, udręczonych ludzi. W walce dopiero odnalazł Szczęśny i swoją dumę i godność i prawdziwą miłość i przyjaźń. Znikł dylemat: wegetacja czy służalstwo, właściwe ujęcie znalazły marzenia o bohaterstwie.

Obraz walki włocławskiego proletariatu, oparty na doskonałej znajomości tradycji tego żywego ośrodka rewolucyjnego ruchu w dwudziestolecie, jest w książce Newerlego przykładem doskonałej umiejętności rzutowania faktów fabularnych na szerokie tło historyczne — bez rozrywania narracji powieściowej partiami historycznego wykładu. A jeśli już pojawia się w książce referat historyczny, jak w wypadku scenki na zebraniu partyjnym, poświadczonym omówieniem sytuacji w Niemczech, to bynajmniej nie dlatego, że autorowi zabrakło innych środków służących do zasygnalizowania międzynarodowej sytuacji politycznej. Referat ten. Proste to niezbędne części akcji powieści. Reakcja słuchaczy na relację o zbrodniach faszyzmu stanowi mierznik ich partyjnej postawy; jej zobrazowanie przygotowuje w powieści zdemaskowanie prowokatora. Także wezwanie do walki o uwolnienie Dymitrowa, instrukcje w sprawie jednolitego frontu reprezentują ważny etap w indywidualnym rozwoju świadomości Szczęsnego, podstawę dla przemysłu na temat jego pracy agitatorskiej, na temat stosunku do bezpartyjnych robotników. Dlatego wzmianki o światowym ruchu rewolucyjnym, o światowym froncie antyfaszystowskim, nie tylko poszerzają perspektywę powieściowego obrazu i umieszcza ją go historycznie — ale właśnie tłumaczą sprawy najbliższe, dla Szczęsnego najistotniejsze, ukazując naczynie i bez bliżej międzynarodową solidarność proletariatu, rzutując bez szumnej deklaracyjności sprawy Włocławka na szerokie tło antyfaszystowskiego ruchu, w Europie.

W książce Newerlego niezbyt wiele stron — poza kulminacyjnym fragmentem życia barykady na Królewieckiej, poświęconemu dokładnemu i szczegółowemu zobrazowaniu całego toku walki Partii — a jednak wydaje się nam, że przeczytaliśmy grube tomy o etapach rozwoju ruchu rewolucyjnego we Włocławku. Tak sugestywna i mistrzowska jest umiejętność Newerlego zastępowania dużych partii wyczerpujących i najcenniejszej publicystycznych opisów — doskonale osadzonych w akcji krótkimi aluzjami i wzmiankami, które sumując się i uzupełniając wzajemnie tworzą wielkie, tętniące życiem paneau, odzwierciedlające dokładnie nie tylko dynamikę wzrostu, ale i miejscową specyfikę walki proletariatu Włocławka.

Miasto Juliana Marchlewskiego, w jego czasach, miasto flisaków i składów zbożowych, zacofane i nieuprzedmiotowione, stało się z czasem sprzym jak na warunki polskie ośrodkiem fabrycznym, szkołą walki klasowej dla rzeszy okolicznego proletariatu i półproletariatu wiejskiego. Miasto pachniało — zależnie od kierunku wiatru — kawa o Bohma lub lugiem z „Celulozy”, powiewało się o nowe dzielnice, zabudowywane budkami i ziemiankami bezrobotnych, przeżywało burzliwe wydarzenia polityczne. Tylko Wisła płynęła po równinach kujawskich piękna i bliska jak za czasów Juliana i flisacy spychali tratwy z mielnicy z okrzykiem „wara styborku!” Newerly, przenikliwy badacz nowego we Włocławku, znał zarówno machinację potentatów przemysłu jak i drogę oporu krzywdzonych, nie zubożył obrazu ukazywanego środowiska przez pominięcie zróżniczonego z nim krajobrazu, ani też przez ignorowanie nierozdzielnie z Wisłą związanego wysepku dawnego tradycyjnego życia i obyczajów flisackiego.

„Rezerwat” flisacki nie został jednak potraktowany przez Newerlego jako strzępek dawnego patriarchalnego świata; i tu pisarz wskazał na istnienie normalnego wysoku kapitalistycznego, „normalnego” stosunku wyzyskiwacza i wyzyskiwanego między „retnanem” a „chłopenem”.

Krajobraz Newerlego bogaty i subtelnie cieniowany nie ma nigdy charakteru ornamentacyjnego, jest zawsze szumanizowany, podporządkowany człowiekowi, ukazywany przez pryzmat jego odczuć i reakcji. Obraz wiśny nadwołżańskiej, kojarzący się u Szczęsnego z szaleństwem „rachunki” stanowi dobitny przykład o umiejętności wydobycia w prosty sposób nowych walorów metaforycznych, odświeżenia i nasycenia żywą treścią emocjonalną utartego rzekomo porównania rewolucji i rozłuki wiosennej powodzi. Najpiękniejsza jednak, najmocniej przepojona niebanalnym liryzmem i miłością ziemi rodzinnej są opisy krajobrazu nadwiślańskiego. Newerly przemówił tu tonem, którego tak brakowało naszej współczesnej literaturze — nierzad oschłej i skapej w wyrażaniu uczuć.

Dyscyplina pisarza, sprawność w selekcji materiału, mistrzowska umiejętność skrótu powoduje, że mimo całego niezmierzonego bogactwa obrazów i obserwacji, masy różnorodności środowisk, masy sylwetek ludzkich, utwor nie nasuwa wrażenia natłoku, chaosu, jakiejś „latarni czarnoksięskiej” na modłę starej

powieści. W jednym tylko momencie zawiodł nas trochę pisarz w bardzo istotnej sprawie — sprawie radykalizacji ruchu ludowego w latach trzydziestych. Kwestie wsi Newerly niejednokrotnie doskonale wpisał w losy Szczęsnego. Jego biedniackie pochodzenie, marzenia ojca o ziemi, postawa „chłopskiej partii” wobec walki robotników Celulozy, wreszcie stosunek radykalnego chłopstwa do KPP i KZM-u — te sprawy udało się pisarzowi ukazać, jeśli nie w pełni wyczerpująco (co zresztą nie było konieczne), to w każdym razie sugestywnie na materiale autobiografii Szczęsnego. Ale też i na tym wyczerpała się nośność biografii Szczęsnego w stosunku do spraw wsi. I tu też wystąpiła jedyna u Newerlego kolizja między możliwościami pamiętnika a postulatami szerokiego obrazu epickiego rzeczywistości międzywojennej. Obchód nowosielecki musiał się znaleźć w powieści dla pełni obrazu, autor jednak nie znalazł dla niego należytego zaczepienia w kolebach losu bohatera. Stąd Newerly oparł uzasadnienie obrazu chłopskiej demonstracji w powieści na przypadkowym spotkaniu, stąd zamieścił ją po opisie walki na barykadach Włocławka, w momencie, gdy linia akcji opada (Szczęśny zdecydował się już na wyjazd do Hiszpanii); stąd relacja o zjeździe nowosieleckim ma charakter reportażu, pozbawiona jest właściwym innym partiom powieści dynamiki i wyrażniejszej akcji. Pisarz nie ukształtował w pełni biografii bohatera tak, by mogła w sobie w naturalny sposób pomieścić także i doświadczenie nowosieleckie.

Specjalne nowatorstwo gatunkowe połączenia w powieści Newerlego lakonicznej, ale doskonale zindywidualizowanej relacji pamiętnikarskiej oraz bogatej narracji odaterskiej, zmierzającej w stronę epickiej pełni obrazu świata, przejawia się także i w stylistycznym ukształtowaniu utworu.

Komentarz, jaki do swych losów dodaje Szczęśny, ma charakter krótkiego wyjaśnienia, czasem samokrytyki. Komentarz autorski nigdy prawie nie występuje bezpośrednio, a jednak pisarz bynajmniej nie rezygnuje ze swej wszechwiedzy; nie rozruca wypadków na los szczęścia; panuje nad tokiem narracji; wybija nieraz, w przyszłość, ukazując perspektywę rozwoju pewnych zjawisk; wyraźnie wypunktowuje ważniejsze etapy doświadczeń Szczęsnego, przeciwdziałając żywiołowości biografii. Do tego celu służy Newerlemu najczęściej zabieg konstruowania sytuacji o symbolicznym wymowie. Newerly jest z pewnością mistrzem w operowaniu realizmową symboliką, która to polega najczęściej na hiperbolicznym podkreśleniu jakiejś cechy typowej, reprezentatywnej dla zasadniczego sensu losów bohatera. Wyrazistych ujęć metaforycznych jest w książce niezmiernie wiele. Przypatrzmy się jej one artystycznego bogactwa, wymagają wielorakości i różnorodności środków pisarskiego wyrazu, oddziałują na czytelnika nierównie mocniej niż jakiegokolwiek autorskie deklaracje. Niemniej bogaty jest język powieści. Dawno już nie mieliśmy w literaturze polskiej pisarza, który by swobodnie operował tak olśniewającym bogactwem leksykalnym, taką znajomością gwaru i „powiedzonek” lokalnych i zawodowych, taką umiejętnością celnej indywidualizacji społecznej języka postaci powieściowych. Przy swojej odkrywczości leksykalnej język Newerlego nie traci nigdy charakteru języka ogólnonarodowego, nie staje się w żadnym wypadku zlepkiem niezrozumiałych „wyrzutek”. Często Newerly sygnalizuje odrębność gwarową tylko przez kadencję zdania; nierzad przy pomocy kilku charakterystycznych zwrotów osiąga pełnię indywidualizacji języka. Ale nie w tym tylko tkwi specyfika powieści Newerlego, łączącej precyzję i celność języka z jego bliskością mowie potocznej, żywym doświadczeniem językowemu mas ludowych; wzbogacającą kulturę językową czytelnika, wywołującą jego wrażliwość na bogactwo i gęstość mowy ludu, na jej celność i humor. Mistrzostwo językowe Newerlego przejawia się również w stylistycznym ukształtowaniu narracji odaterskiej. Newerly nie zachowuje na ogół tzw. „epickiego dystansu” w relacji o czynach i przysiącach swego bohatera. To nasuwa tok jego prozy wielką bezpośredniość. Z drugiej strony przesycenie narracji elementami rozmyślań i refleksji bohaterów, partiami mowy pozornie zależnej — nie prowadzi w żadnym wypadku do efektów znanych nam z praktyki wielu pisarzy 20-lecia, jak np. Boguszewska, gdzie świat obiektywny znika w potokach lirycznego belkotu każdego z bohaterów. Ze podobne składniki relacji odaterskiej nie pełnią u Newerlego funkcji arealistycznej, wynika to zarówno z innejgo rozumienia psychologii postaci powieściowych, jak i z umiarem i taktu autora, umiającego oszczędnie dawkować ten typ ujęcia powieściowego. Chwył ten u niego wzmagający realizm powieści, zbliża do jej bohaterów, pozwala wnikać w ich myślenie i przeżywania — bez zatarcia realnych, obiektywnych wymiarów rzeczywistości. Swój, oryginalny typ narracji i konstrukcji powieściowej to jeszcze jeden wybitny walor tej powieści, stanowiącej niewątpliwie najwyższe dotychczas osiągnięcie powieści polskiego realizmu socjalistycznego.

Maria Żmigrodzka

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kronika radziecka

O radzieckim szkicu literackim

MOWA o szkicu, o tym popularnym i chłonnym gatunku literackim, który graniczy zarówno z reportażem jak i z publicystyką dziennikarską, a zarazem sięga niekiedy szczytów noweli. Szkic w literaturze realizmu socjalistycznego to w sposób najbardziej aktualny, biorąc za punkt wyjścia sprawy na pozór drobne, codzienne lecz ważne. Siła szkicu leży w umiejętności uogólniania.

Krytyka radziecka ujmując następująco charakter i zadania szkicu: „Szkice na temat nowatorów przemysłu i gospodarstwa rolnego, na przykładzie życia rzeczywistych robotników i kolechożników, pokazują, jak można i jak należy walczyć o nowe i jakie możliwości daje każdemu nowatorowi nasz ustrój radziecki. Szkice to pomagają ludziom w ich twórczych czynach nie tylko w kraju radzieckim, ale i w krajach demokracji ludowej, w których szkice cieszą się dużym powodzeniem. Z drugiej strony, w chwili obecnej, kiedy siły światowej reakcji czynią wszystko, aby ocernić kraj socjalizmu, szczególnie potrzebne są ściśle materiały obrazujące życie naszego narodu. Ścisła informacja, ścisły szkic artystyczny, filmy dokumentarne — to wszystko staje się potężną bronią w walce z Związku Radzieckiego o pokój na całym świecie. Fakty życia mówią na naszą korzyść, dlatego mamy obowiązek przedstawić te fakty całemu światu”.

Prasa radziecka poświęca zagadnieniom szkicu wiele miejsca. Czołowe pisma literackie („Nowy Mir”, „Literaturnaja Gazieta”) publikują szkice prawie w każdym numerze. Szkice drukuje także „Prawda”. Ostatnio „Literaturnaja Gazieta” w nr 67 z czerwca br. w artykule pt. „Uwagi o szkicu” podsumowała zalety i braki omawianego gatunku literackiego.

Rozważania swoje „Literaturnaja Gazieta” opiera na konkretnym materiale. W ciągu ostatniego półroczia ukazało się wiele szkiców. Wśród nich wymienić należy: szkice i pamflety J. Galana „W drodze i w domu”, W. Pottorackiego „Światła nad Chinami”, J. Jermaszowa, „Walczące Chiny”, K. Simonowa, „O pokój”, J. Erenburga, „Ameryka od strony kuchennych schodów”, N. Wasiliewa, „W Korei” oraz „W kraju ludów”. A. Pierwienecowa, „W Niemczech”, W. Wasiliewskiej, „Włoskie wrażenia”, P. Pawlenki, „Dwa lata w Etiopii”, W. Dolinowa, „Na drugim wszechświatowym kongresie zwolenników pokoju”, N. Czerkasowa, „Walcząca Korea”. A. Kozma i inne. Wszystkie te utwory

ukazują czytelnikowi obecny etap historii na dobitnych przykładach ludzi i wydarzeń, przedstawiają prostych ludzi różnych krajów złączonych wspólną walką z imperializmem.

Znany krytyk radziecki A. Tarasienkow, omawiając pamflety J. Galana pt. „Zmierzch obcych bogów”, które weszły do tomu „Utwory wybrane”, wyróżnił go Nagrodą Stalinowską, zauważa szczerze, że główna zaleta antyutworytaryzmu szkiców Galana leży w estetyczności techniki pisarskiej, nasyconej głęboką ideowością a sięgającej to do obszernej wiedzy historycznej, to znów do najbardziej osobistych doświadczeń autora. Podporządkowanie bogactwa realności zasadzie politycznej, wykorzystanie każdego szczegółu dla wypuklenia walki klasowej, w stylu przechodzenia od ściśle kronikarskiej notatki do metafory i ironicznej pointy — oto tajemki dobrego rzemiosła Galana.

Tenże prymat bolszewickiej ideowości cechuje szkice Pottorackiego. Jego zbiór „W drodze i w domu” napisany został z tym specyficznym mistrzostwem, które powoduje u czytelnika wrażenie, że mówi do niego samo życie.

O sugestywności szkicu stanowi jego bogactwo emocjonalne. Krytyka radziecka wysoko ocenia zbiór szkiców W. Wasiliewskiej pt. „W Niemczech”. Autorka postawiła sobie za zadanie przedstawić Niemcy prawdziwie, antyfaszystowskie w okresie szalejącego terronu hitlerowskiego. Stąd każde opisywane zdarzenie posiada jakby podwójne dno: myśl o Niemczech antyfaszystowskich i pamięć cierpień w Polsce. Nie ma sceny, która nie działaby się w sercu pisarza. „Myślę — zauważa B. Agapow w „Lit. Gazieta” — że prawdziwy, artystyczny szkic musi być oparty właśnie na osobistym, głęboko przeżywanym doświadczeniu. Kiedy to osobiste w artyście zbiega się z przeżyciem powszechnym, wtedy właśnie powstaje sztuka prawdziwie ludowa”. Przed literaturą radziecką stoi także doświadczenie ukazania wielkich budowl i komunizmu i uwypuklenia związków z tym przeobrażeń w psychice człowieka radzieckiego. Pojawia się już bardzo dużo szkiców na ten temat: Paustowskiego, Jakowlewa, B. Polewoja, Nikitina i in. Szkice tego typu mogą się poczynić dużymi osiągnięciami (Paustowski, Polewoj), ale cełchą go jeszcze nadal pewne braki. „Wielu pisarzy — zauważa „Literaturnaja Gazieta” — uścisło opowiedzieć o wszystkim na raz. Do podróży plecak pakuje każdy materiał, na jaki natrafia po drodze. Nie kierując się zasadniczą ideą,

autorzy ci stwarzają anemiczne, postrzępione utwory, pozbawione kompozycji, rozdarte na oddzielne epizody”.

Pisarze radzieccy spotykają się na każdym kroku z cudami zwycięskiej techniki socjalistycznej. Powstałe ciekawe pytanie, jakie jest miejsce techniki w utworze literackim? Krytyka radziecka, a ostatnio coraz częściej i praktyka pisarska występują przeciw przesztanieniu człowieka przez technikę. „Opis techniczny czy przyrodniczy — zauważa „Literaturnaja Gazieta” — bodaj najdoskonalszy nie wystarcza do tego, żeby w szkicu tętniło życie. Szkic nabierze rumieńców życia i powie, kiedy w szkicu tętniło życie. Kiedy w centrum techniki lub przyrody pojawi się człowiek i to taki, który potrafi opanować siły techniki i przyrody”.

Te zalety dobrego szkicu posiadają szkice W. Wieliczko „Komuniści Wolgo - Dona” i A. Zlobin „Kroczący gigant”. Autorzy szkiców — pisze „Literaturnaja Gazieta” — przywykli zwracać uwagę na tzw. produkcyjną stronę jednostki. Skrajnym tego wyrazem jest sucha informacja o ilości wypracowanych norm. Tymczasem życie stawia przed pisarzami nowe zadania — trzeba pokazać człowieka nie tylko od strony produkcyjnej, lecz w całym bogactwie charakteru, różnorodności i złożoności cech.

Leż w jaki sposób „podpatrzyć” u budowniczych i „produkcji” i ściśle osobiste cechy? Tu wywiądza zawiadzie. Krytyka radziecka uważa, że tylko współzycie pisarza z bohaterem wielkich budowl komunizmu, nieustanne z nim obcowanie, a nawet udział w pracy — pomagają stworzyć bogaty, prawdziwy obraz.

Jasne jest, że szkic, w którym autor zmienia nazwisko bohatera lub przedstawia fikcyjną postać, uwalnia pisarza od wzięcia dokumentaryzmu, daje mu dużą swobodę w zakresie wyobraźni. I tu powstaje bardzo ciekawe zagadnienie w stosunku szkicu do fikcji twórczej. O ile pisarz musi ściśle trzymać się faktów rzeczywistości, o ile ma prawo do swobodnej gry wyobraźni? Powiedzmy od razu, że rola fikcji twórczej w szkicu jest niewielka. Oczywiście, przełamanie sztywnych granic dokumentaryzmu, dopuszczenie wyobraźni jako czynnika kształtującego surowe fakty — pozwala na psychologiczne wzbogacenie postaci, odsłanianie tajemnic ludzkiego charakteru. Ale proza dokumentarna na niezastąpioną cechę o wielkiej, politycznej doniosłości: opieruje prawdziwymi faktami z życia. Dlatego szkic jest niezastąpionym orężem w zmaganiach o pokój i nowe społeczeństwo.

Grzegorz Timofiejew

STANISŁAW CIESŁAK

TRZEBA HANDLOWAĆ PO NOWEMU

W CAŁYM kraju odbywają się obecnie narady wielkie, bo ponad 300 tysięcy liczącej armii pracowników handlu uspołecznionego (państwowego i spółdzielczego). Wchodzimy bowiem obecnie w decydujący moment wielkiej „bitwy o handel”, która z rosnącym nasileniem toczy się w naszym kraju od r. 1947.

Mamy już poza sobą zdobycie zdecydowanej przewagi w dziedzinie zaopatrzenia i wymiany dla gospodarki socjalistycznej. Dziś handel uspołeczniony obejmuje już 86% wszystkich obrotów rynkowych w naszym kraju i decyduje o zaopatrzeniu ludności.

Osiągnięcie tego ogromnego zwycięstwa nie było jednak ani sprawą łatwą ani prostą. Cofnijmy się myślnie do roku 1946, pierwszego po zakończeniu działań wojennych roku pokojowego budownictwa. O zaopatrzeniu ludności, o obrotach między miastem a wsią decydował wtedy jeszcze handel prywatny ze swymi 150 tys. placówek handlu hurtowego i detalicznego, których obroty wynosiły 381 miliardów ówczesnych złotych, podczas gdy handel socjalistyczny (państwowy i spółdzielczy) posiadał wówczas zaledwie 18 tys. placówek o obrotach w wysokości 207 miliardów złotych. W handlu detalicznym udział uspołecznionego handlu wynosił zaledwie 22%, a w wolnorynkowym skupie rolnym nawet jeszcze mniej, gdyż w planowym skupie socjalistycznym handel zakupił wówczas w r. 1946, aż... 97 tys. ton zboża i 37 tys. ton mięsa.

Dziś w roku 1952 handel uspołeczniony posiada już blisko dwa i pół raza liczącą sieć punktów sprzedaży i skupu, obroty jego według wartości wzrosły w porównaniu z rokiem 1946 przeszło dwudziestokrotnie. Handel prywatny zachował jeszcze 32 tys. placówek z obrotami jednak o 79% niższymi niż w r. 1946.

W ten sposób leninowski zagadnienie: „Kto — kogo?” zostało w handlu już rozstrzygnięte zdecydowanie na korzyść elementów socjalistycznych i handel uspołeczniony stał się w całej rozciągłości czynnikiem decydującym i odpowiedzialnym za zaopatrzenie kraju.

Ale przez to walka klasowa w handlu nie została jeszcze zakończona, przeciwnie, weszła ona dziś w fazę decydującą. Pamiętamy, że na niedaleki już przecież rok 1955 Plan 6-letni przewiduje osiągnięcie udziału gospodarki socjalistycznej w handlu na 97%.

Skok z obecnych 86% na 97% udziału w całokształcie obrotów rynkowych, o który będziemy walczyć w latach 1953 — 1955, to nie tylko zmiana ilościowa, ale ogromna, zmiana jakościowa, tym trudniejsza, do osiągnięcia, że jesteśmy w handlu (tak samo jak w rolnictwie) wyraźnie opóźnieni w stosunku do wytycznych Planu 6-letniego, które już na rok 1951 przewidywały 92%, a dopiero przecież dziś w połowie roku 1952 osiągnęliśmy 86% udziału w całokształcie obrotów rynkowych dla gospodarki socjalistycznej!

Zadania więc, które stoją przed naszym handlem uspołecznionym, zwłaszcza na wsi są nielatywne, a osiągnięcie ich jest, rzecz jasna, przy pomocy dotychczasowych, często jeszcze przedwojennych metod pracy zgola niemożliwe. Jest więc nad czym radzić.

Kiedy myślimy o nowych metodach pracy, wzrok nasz od razu kieruje się ku Gminnym Spółdzielniom i PZGS-om. Jest to bowiem dziś najsłabsze ogniwo całego naszego socjalistycznego handlu, a wiemy dobrze (bo odrastająca wciąż hydra spekulacji przypomina nam tę prawdę na naszej własnej skórze), że o sile całego łańcucha decyduje nie najsłabsze, ale właśnie najsłabsze ogniwo...

Mało jest jeszcze takich np. PZGS-ów, jak ten w Kolnie (woj. białostockie), którego kierownik Zbigniew Sliwa, gdy pisze do nas o osiągnięciach i brakach pracy swego PZGS-u, to widzi je na tle konkretnej struktury społecznej i układu sił klasowych swego powiatu, czuje się odpowiedzialnym wraz ze swoją 85-osobową armią pracowników kolniskiego PZGS-u za rozwój spółdzielczości produkcyjnej i nie tylko nie obraża się i nie gniewa za krytykę swej pracy dokonywaną przez korespondentów robotniczych i chłopskich, lecz przeciwnie jest za nią ogromnie i szczerze wdzięczny.

„Stusznym jest — pisze Zbigniew Sliwa — że o każdym naszym niedociągnięciu pisze się w prasie tak dużo, bo my przecież mamy poważną rolę do spełnienia w przebudowie naszej wsi. Mamy być przykładem społecznego gospodarowania i dlatego należy nam wytykać błędy nawet najdrobniejsze”.

Iluż natomiast jest jeszcze takich „działaczy” jak ów niezły, jak wiadać, biurokrata z zarządu PZGS-u w Głubczycach, który redakcji nie może odpowiedzieć na zapytanie, jak pracuje PZGS w Głubczycach, „ponieważ to są sprawy poufne, objęte tajemnicą służbową, której nie wolno mi zdradzić”.

Czyż nie przypomina tego legendarnego już dziś szofera pewnej Powiatowej Rady Narodowej, który na zapytanie pewnego działacza politycznego, gdy ten napotkał go z wozem w terenie: jakiej to instytucji samochód i w którym kierunku jedzie? — odpowiedział z całą powagą: „to tajemnica państwowa”.

Iluż jest jeszcze takich, jak ten odpowiedzialny pracownik PZGS-u w Kluczborku, który zapytany o kontakt z masami członkowskimi

odpowiada, że „aparatus samorządu w samym PZGS-ie jest jednoosobowy i dlatego kontrola pracy GS-ów nie może objąć całokształtu zagadnień. W praktyce kontrola ta sprowadza się do instruktarzu kontrolerów gminnych, organizowania zebrań gminnych i gromadzkich oraz odpowiadania na krytyczne głosy prasy”.

Z takiej biurokratycznej pracy zbiera się później gorzkie owoce. Pełno ich w listach korespondentów chłopskich: mechaniczne rozprowadzanie towarów, lekceważący stosunek do żądań i potrzeb konsumenta, bezduszność pracy, brak aktywnej postawy w walce o stałe, systematyczne zwiększanie i rozszerzanie masy towarowej zarówno ze źródeł scentralizowanych (państwowe centra zbytu) jak i ze źródeł zdecentralizowanych, a więc z drobnego przemysłu miejscowego, ze spółdzielczości rzemieślniczej itp., które przy większej dbałości o te sprawy mogłyby powodzeniem dostarczyć każdej niemal gminnej spółdzielni około 700 artykułów codziennego użytku powszechnie poszukiwanych na wsi.

Wymownym dowodem „kostnienia” znacznej części aparatu terenowego Centrali Rolniczej Samopomocy Chłopskiej jest jej własny organ „Rolnik — Spółdzielca”, na którego łamach nie wypowiadają się wcale działacze terenowi, a które to pismo w całości, od okładki do okładki (w swym przekonaniu oszczędzając w ten sposób papier na instrukcje) wypełniają przeważnie pracownicy Centrali w Warszawie.

GS-y i PZGS-y nie mogą być „urzędami wymiany”, które poza wskaźnikami planu, sprawozdaniemi i obowiązkowymi dostawami nie widzą życia, walki klasowej na swym terenie, nie czują się odpowiedzialne za całokształt przebudowy ustroju rolnego na swoim terenie.

W świetle uchwał VII Plenum muszą się one stać i to szybko placówkami rozwinętego, socjalistycznego handlu, którego naczelnym zadaniem jest troska o rozwój produkcji, o jak najpełniejsze zaspokojenie potrzeb i wymagań konsumenta oraz nawiązanie bezpośrednich, bliskich, opartych na wzajemnym zaufaniu kontaktów z drobnotowarowym producentem, dostarczającym do spółdzielni plody rolnie.

„Spójnia produkcyjna między wsią a miastem — uczy Stalin — jest podstawową formą spójni, ale sama tylko spójnia produkcyjna nie wystarcza. Trzeba ją uzupełnić miastem towarową, aby więź między miastem a wsią czuła trwałą i nierozrwalną. Dopiąć tego można jedynie przez rozwinięcie handlu radzieckiego”.

A handel radziecki, rozwinięty handel socjalistyczny to nie administracyjne kierowanie rynkiem, to wolny handel, ale bez kapitalistów i bez spekulantów. A o tym jakże często zapominają nasi działacze,

k którzy nie dostrzegają odrastającej wciąż u nas hydry spekulacji i piszą do nas z takim optymizmem jak ów odpowiedzialny pracownik PZGS-u w Kluczborku „że u nas na Zachodzie socjalizacja wsi odbywa się szybciej, a wypadki spekulacji produktami rolnymi zdarzają się coraz rzadziej, bo ściganą są z całą bezwzględnością”.

A przecież obecna ofensywa handlu socjalistycznego odbywa się pod głównym hasłem dalszego ograniczenia i wyparcia prywatnego, kapitalistycznego handlu (i to nie tylko legalnego, ale zwłaszcza nielegalnego) z naszego rynku wewnętrznego.

Aby to osiągnąć, trzeba rozszerzyć wszystkie cztery kanały naszego uspołecznionego handlu, w których płyną towary ze wsi do miasta i z miasta na wsi. A więc zarówno sieć sklepów państwowych jak i spółdzielczych, zarówno sieć punktów sprzedaży nadwyżek towarowych spółdzielni produkcyjnych jak i sieć targowisk, na których indywidualnie gospodarujący chłopci sprzedają te nadwyżki, które im pozostają po wykonaniu obowiązkowych dostaw.

Rozwinięcie i umocnienie naszego socjalistycznego handlu zwłaszcza na wsi, tak dziś konieczne i pilne nie jest jednak sprawą łatwą. Choćby dlatego, że odbywać się będzie przy różnych legalnych cenach za ten sam towar.

Weźmy np. cenę żywyca wieprzowego. Występują tu trzy ceny: pierwsza — cena płacona w ramach obowiązkowych dostaw za żywiec wieprzowy, druga — to cena jaką rolnik otrzymuje w gotówce i w naturze (węgiel i śruta) za kontraktowaną trzodę chlewną, trzecia — to ta, którą otrzymuje chłop na wolnym rynku za trzodę chlewną sprzedaną po wywiązaniu się w całej pełni z obowiązkowych dostaw.

Jasna rzecz, że tak skomplikowany rynek wymaga ogromnej czujności, bystrego klasowego podejścia i ogromnego poczucia odpowiedzialności ze strony całego naszego aparatu handlu uspołecznionego. Nie ludzmy się bowiem, że wróg klasowy, już powalony, nie podniesie głowy, że nie nastąpią próby ożywienia spekulacji, że pod płaszczykiem takim czy innym spekulanci i pośrednicy nie będą usiłowali wykorzystać wolnorynkowego rynku, na którym chłopci sprzedają swe nadwyżki.

Ale trzon całej naszej blisko 200 tys. armii pracowników GS-ów i PZGS-ów jest zdrowy, zahartowany w walce, podnoszący stale swe kwalifikacje polityczne i zawodowe. Da sobie radę z tymi trudnościami i nowymi zadaniami, byleby nie zapomnieli o podstawowej zasadzie swej pracy: o potrzebie i konieczności oparcia się o biedotę, o sojuszu ze średniactwem i walki nieubłaganej z kulakiem.

Stanisław Cieslak

ZYGFRED SAWKO

JARMARK W AUGUSTOWIE

(Reportaż poetycki)

Wyrzało słońce — i dmie w chmurach chłodny północny wiatr. Rok pięćdziesiąty drugi. W ulicę wąskiej zator — drabiniaste na plac wjeżdżają wozy, świszczą baty i słychać głosy chłopów: — Na co czekasz, nie będę stał i patrzył, zjeżdżaj z drogi! —



Foto E. Golański

Ze wszystkich stron ulica wzbiera rzeką.

Na targowisko wprawdzie wyznaczono miejsce za miastem, ale pochód owiec i świń na furach ulicami ciągnął. Czerwcowy jarmark, jarmark w Augustowie!

Kto na to miał — zaprzęgał dwa kaszany, by od biedoty jakoś się wyróżnić. Już konie zębiskami reszki siano wybrały, stoja u swych żłobów próżnych.

Nie jeden z chłopów też dla krowy, owcy Sprzed pysków paszę złapał, gdy przechodził; że wziął koniowi — przeświadczonej mocno — nie ukradł, nie spod zamka brał, jak złodziej.

A po cóż skubać tak, gdy baba trawę na targ od świtu z łąk zielonych wiozła, by na widocznym miejscu się ustawić, Sprzedając wiazki paszy prosto z wozu.

Kobiety pouczają jak się karmi prosięta, żeby zdrowe były, tustę... Tłumaczą wszystkim, gdy o male spytają: Zierają jęczmień rozparzony w mleku — apetyt u prosiaków że, człowieku, żarcia nie zdążyś wlewać do koryta. —

Ze wsi spółdzielczą — znają się w powiecie — przybyli chłopci. Kupić chcą rasowe na chów prosiaki — kupi, no bo przecie Spółdzielnia w Białym — gospodarstwo nowe.

Biedniacy do niedawna, co przywykli z węzła grosze wysypywać, wagę pieniażka znają, ale dziś jak zwykle kupować swin najtaniej, już nie pragną.

Nie liczą się tak. Prezes grubym końcem długiego bata zmusza w wielkiej skrzyni prosiaki powstać —

wola, w bok je trąca, o cenę pyta młodą gospodynię.

Kupował z wozów najpiękniejsze pary — na zaród. Drogo nie dla pięknych oczu wypłacał. Sam się gospodarzem poczuł — on, w starej jeszcze bluzie, w butach starych.

Nie taniej, jak po czterysta, spółdzielcom sprzedawać nie chcą chłopci swoich prosiąt. Lecz cóż im znaczy to! Rasowe — więcej do worka dawaj! Prezes sam przonoś na plechach — obok już czekają konie.

Wciąż ryczą krowy. I te, co z wyschniętym wymieniem ledwo stoja tu na zbycie i te, trzylatki brzemienne, cieleta do Augustowa pędzone o świcie.

Żalonię patrzą w oczy obcym ludziom. Zapadnie zmierzch na bór, na wieś, gdzie żyły, do obór swoich żadna z krów nie wróci. Przy wozach w cieniu kół się kładzie bydło.

Targują chłopci, przybijają w ręce: Za dwa tysiące trzysta oddasz — placę. — Przekupnie kręcą się, nie dają więcej. Południe — wozy odjeżdżają z placu. Mosaiczka chustek kolorowych, białych i fala włosów rozwierzonych rzędnie. I chmury, co jak wozy z sianem stały nad miastem — ciągną lżejsze, niż poprzednio. Na stronie kulak — W kurcie, na tył czapa, bał w rękę... W lśniących przejrzał się cholewach.

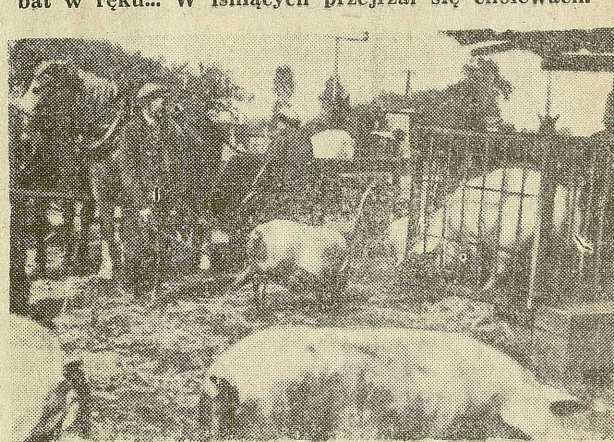


Foto CAF

Ze wzgórką do swej żony schodząc złapał dwie wiazki trawy sennej babie z wozu i nad głowami jedną, drugą miota przed konie... — Ile — pyta — za te wiazki? — Heleno — wola — zapłać po trzy złote!

I ważąc w garści ciężar ziarna — zgryzta zębami: — Ceny zboża nie nie skaczą. Nie warto trzymać do przednówka żyta. Cholera! gmina w chleb wieś zaopatrza.

Czerwiec, 1952 r.

Zygfryd Sawko

SYLWESTER BANAS

STARE NIE SA JUŻ WAŻNE...*)

ZACZEŁO świtać. Od uspionej jeszcze wsi dobiegało przedpołniane pianie kogutów. W kilku miejscach błyszczały słabe światła.

To u Grzyby — u Marciniaka — o, i Zdyb nie śpi.

Z boku wsi, w dużym domu młynarza światło ukazywało się w coraz to innym oknie.



Rys. J. Walker

— Aha! pewno młynarz wyciąga pieniądze z różnych schowków! — domyślił się soltys, schodząc rażno ze wzgórz. — Ale też mają nie, które ludzie pieniędzy, Grzyb jeszcze więcej od Rzepeckiego, a młynarz, to sam nie wiem.

— Ale i mnie się dzisiaj poszczęściło — uśmiechnął się sam do siebie. — Mądrze jest to przysłowie: „kto rano wstaje temu Pan Bóg daje”. Wstałem przed świtem, spełniłem dobry uczynek i dwa świniaki jak znalazł. Jeszcze jak się uda, to może i tamci też dołożą za wczesną wiadomość.

Dochożąc do pierwszych chałup przystanął aby skrócić papierosa. Objeżdżał się za siebie. Na wzgórze majaczyły w podnoszącej się porannej mgłę odosobnione od wsi, otoczone drzewami solidne zabudowania Rzepeckiego.

— Ale z niego gagatek — mruczał myśląc o Rzepeckim. — Wzińkięgo dobra u niego dosyć i jeszcze taki pas zwędził — nabierze forsy jak go opchnie na zółwki.

— A Agata, to ci dopiero baba! — cmoknął lubieżnie. — Noga pod

nią, ręka, piersi jak wymiona u rasowej krowy. Latała ci prawie nago po izbie! — Ech! taką mieć do spania! Przypomniała się soltysowi własna, zapracowana, chuda, brzydka żona... — Nie ma to jak bogatemu! — westchnął — nawet i kobiety mają do rzeczy — tustę.

— A teraz spać! — ziewnął szeroko, ruszając z niechęcią w stronę swojej chałupy.

Dopiero zdążyła Urbaniakowa wstać z łóżka i ledwo wciągnęła na siebie spódnice, gdy do drzwi ktoś zapukał.

— Kogoż tu... tak z rana niosą? — Maryś! okny jak, pewno ktoś obcy, bo puka.

— Pochwalony — powiedział Rzepecki stając w progu — ja do was za interesem, a wy jak widzę dopiero wstaliście?!

— Bo to panie Rzepecki w niedziele człowiek se trochę dłużej pospi i dlatego taki nieporządek — usprawiedliwiała się Urbaniakowa, patrząc z zażenowaniem po nieposprzątej jeszcze izbie. — A tu taki gość, taki gość! — Niech siada, ja proszę! — wycierała fartuchem stół.

— Ja tu do was w sprawie krowy — zaczął Rzepecki widząc, że Urbaniakowa patrzy na niego wycofując, zdziwiona tak rannymi odwiedzinami. — Widzicie, jest taka sprawa: Jęde dzisiaj do brata, do Kiele, a nie wiem ile dni mi tam zjedzie. Przez ten czas moglibyście sprzedać krowę, a muszę powiedzieć, że udała mi się i myślę sobie, dobijmy dzisiaj targu! Po co ma isć dobre bydło w obce ręce? Lepiej niech na naszej wsi zostanie. Dlatego przyszedłem...

— A bo to i prawda, że lepszej krowy w całej wsi nie ma — pochylała się Urbaniakowa. — Po wycieciu więcej jak 4 garncie daje a jakie misko zółciutki! i śmiesz... można zebrać! Przestać dawać tylko na dwa tygodnie przed ocielaniem. Skarb nie krowa! kto ją kupi będzie chwalił Urbaniakową! We wtorek mieliśmy z nią isć do Lipska na jarmark.

Bo to i paszy tyle nie ma — pieniądze potrzebne. Zamierzam dach przestawić na chałupie i nowe przycięcie trzeba dać stare zgnić. Mam już zgodzone drzewo i gonty w Bolekach. Ciesie przyjdą już od piątku, to pieniądze potrzebne, no i stodołę trza trochę poprawić.

— Przecież nie starczy na to pieniędzy za jedną krowę?! — zwał pił Rzepecki.

— Toteż jeszcze mam dwa wieprzki do sprzedania. Jeden sięgnie z półtora metra. Drugi mało co mnie! Szły mi latós dobra ręka — pytała dalej Urbaniakowa — i wieprze też zawiozę na spód we wtorek!

Jałówka co jest po Krasuli ocieli się na Boże Narodzenie, to bez mleka nie będziemy. A trzeba trochę gospodarstwo doprowadzić do ładu, bo w zimę sprawimy Maryśce weselisko. Będzie wreszcie chłop doma.

— Z kimże ta — spytał Rzepecki radby już przerwać tę rozmowę i przystąpić do interesu. Czas uciekał.

— A z Mietkiem Potulakiem mają się ku sobie i chociaż my dwie ino kobiecin na tych pięciu morgach, to staramy się i nie powie zięć, że chałupa się wali i na głowie cieknie...

— No to powiedzcie Urbaniakowa swoją cenę — powstał Rzepecki. (Na drodze zaczynał się już pomału ruch).

— Wiem ja to? — Taka dobra krowa i tak żem się do niej przyzwyczaiła. W tamtą niedzielę był tu Trela z Długiejwoli i dawał 45 tysięcy, a ja ceniałam 50 — rzuciła, patrząc pilnie w twarz Rzepeckiego, by wyczuć jakie to suma robi na nim wrażenie. (W rzeczywistości dawano jej 42 tysiące). Ale to do zgody, jak dla was...

— Dawał Trela, da Rzepecki o 2000 zł. więcej — dajcie rękę!

Zaskoczyło to Urbaniakową, spodziewała się zacieklanych targów.

— Jo... opuszczę tysiąc, wy dołożcie 2 albo rozbijemy na pół i zgoda!

— Nie! — Rzepecki zdawał sobie dobrze sprawę, że 47 tysięcy to i tak już cena o 2 tysiące za wysoko.

— Bierzecie —

— Ale tak przy niedzieli handlować czy to nie grzech — oponowała łagodnie Urbaniakowa.

Czas uciekał.

— Dokładam 500 zł — zdecydował się Rzepecki — przybijcie!

Klap! plesnęła Urbaniakowa w twarzą rękę Rzepeckiego. Krowa była sprzedana. Chyba jak Tomaszówka Tomaszówką nie było jeszcze krótszego targu.

— Maryś! wstawaj. Przeliczysz pieniądze, ja tam trochę niedowidzę. Nie patrzcie w tamtą stronę, panie Rzepecki, to się dziewczucha ubierze.

— Raz — osiem — dwanaście — czterdzieści siedem — ślinił palce Rzepecki układając na stole brzoze tysiączki — i 500 zł.

— Niech Marysia przeliczy. Wyprowadzić krowę.

— Ale ja jeszcze wydoje! — złapała Urbaniakowa szkopek.

Marysia usiadła przed małym lusterkiem i zaczęła zaplatać ciężkie, koloru dojrzalej pszenicy, włosy w dwa warkocz, nucąc przy tym z cicha.

— Udała się Urbaniakowej córka — pomyślał Rzepecki — Krew z mlekiem, zdrowie z niej tryska.

— Panna Marysia to nadalaby się nawet za żonę gospodarstwu synowi. Zeby tylko miała więcej gruntu, toby się nie opędziła od bogatych konkurentów — powiedział przypochlebie.

— Mnie tam nie po bogactwie — zaśmiała się dziewczęce Marysia — mogłoby to nie wszystko, a z Mietkiem damy sobie i tak radę.

— Tak, tak — pokiwiał głową Rzepecki. — Ale nie wszyscy tak myślą, ot pletą na wsi, że Potulak kręci się koło majątku Zośki Grzyby.

— Nie wierzę w to! Mietek nie taki — powiedziała cicho — to plotki.

— Toteż ja nie mówię na pewno — zastrzegł się Rzepecki, — ludzie plotą.

— Ale, pójdę już do obory — podniosła się — ludziom nie trza wierzyć!

— Maryś! — zawołała z żywiością Urbaniakowa wchodząc z pełnym szkopekiem mleka — Pan Rzepecki kupił od nas też obie świnię, bierz

— Nie wierzę w to! Mietek nie taki — powiedziała cicho — to plotki.

— Toteż ja nie mówię na pewno — zastrzegł się Rzepecki, — ludzie plotą.

— Ale, pójdę już do obory — podniosła się — ludziom nie trza wierzyć!

— Maryś! — zawołała z żywiością Urbaniakowa wchodząc z pełnym szkopekiem mleka — Pan Rzepecki kupił od nas też obie świnię, bierz

pieniądze całe 62 tysiące! Coś ty taka nieruchawa — nie cieszysz się?

— Na cóż to panu Rzepeckiemu świnię? — zdziwiła się Marysia — Przecie ma swoje!

— Widzi Marysia — chcę wam trochę pomóc z tej okazji, że jadę do Kiele, zabiorę z sobą trochę mięsa. Ja na tym zarobię i wam daję wyższą cenę niżby wam dali w GS-ie.

— No, no, co ciebie obchodzi na co panu Rzepeckiemu świnię! — zgromiła ostro Urbaniakowa córkę — ma pieniądze na stół i ma prawo kupić.

— Nic takiego — uspokoił ją Rzepecki — wiadomo — młode to i ciekawe. Krowę to odrazu wezmę, a po świnię przyjedzie Ignac.

Zaryzała smętnie Krasula, zgęzła trochę w serce Urbaniakową, ale wzrok jej padł na stół i zapomniła o wszystkim.

— Ale pieniądze! — gaskała z lubością brzoze papierki. — Wykalkulowałam se, że najwyżej za wszystkie weźmie się 90 tysięcy, a tu masz o 17 tysięcy więcej. Będzie jeszcze jaka dziura czym załatać. Ale porządny chłop z tego Rzepeckiego, znać, że gospodarz, prawie się nie targował, on com zaceniał to zapłacił. Nie wiem czemu niektórzy przezywają takiego... kulak?

Marysia milczała, nie biorąc żadnego udziału w uciesach starej. Wyglądała oknem na drogę bez żadnego zainteresowania.

— No! czegoż ci nie mówisz? — zbliżyła się również Urbaniakowa do okna.

Na drodze zaturkotał wóz.

— Coś mi się widzi, że to Grzyb jechał, ale tak jakby na Ambroziaka wozie i koniu, a wóz był wyładowany gospodarskimi statkami. Co by to mogło znaczyć? — zastanowiła się mocno.

— Cóżby — wtrąciła Marysia nawijając na palce koniec warkocza — Pewno Ambroziak wyprowadza się, bo to i ziemię już oddał w dzierżawę z rana teki handel.

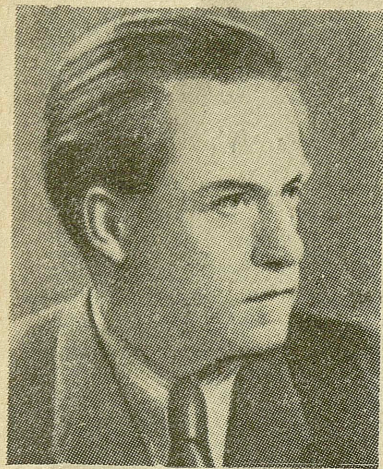
Co by to mogło znaczyć? — zastanowiła się mocno.

— To pewno Grzyb od niego kupił — domyśliła się stara. — Ale co w niedzielę z rana teki handel, czy nie ma w tym jakiej szachrajki? — kolnęła ją w serce zębcem.

Sylwester Banas

MARIAN WILK

P A M F L E T Y G A Ł A N A



Jarosław Gałan

NA liście laureatów. Nagród Stalinowskich za rok 1951 figuruje także nazwisko Jarosława Gałana, wybitnego pisarza radzieckiej Ukrainy. Otrzymał on Nagrodę antywytykańską, zawarte w tomie „Utwory wybrane”.

Galan nie żyje. Ten płomienny pisarz-patriota zginął niedawno z ręki wrogów ukraińskiego ludu, płatnych agentów Watykanu, rekrutujących się z resztek kulakstwa, daremnie próbujących powstrzymać zwycięski rozwój Zachodniej Ukrainy. Poległ pisarz, lecz zostały po nim bojowe utwory literackie, a wśród nich przede wszystkim znakomite pamflety antywytykańskie. Są one organicznie związane z działalnością polityczną autora; toteż, nim zaczniemy omawiać ich treść, przytoczmy garść faktów dotyczących biografii Gałana i historii jego ojczyzny.

1. Jarosław Gałan urodził się na terenie Zachodniej Ukrainy, która przez długi szmat dziejów stanowiła sferę zainteresowań polskiej szlachty, później Habsburgów, a jeszcze później kapitalistycznych władców Polski oraz hitlerowskich Niemiec. Wszystkie te siły były zawsze zajadłymi wrogami suwerenności narodu ukraińskiego — i prawie zawsze wspierały je rodzime klasy — obszarnicy i burżuazja. W przeciwną stronę wyciągała się jeszcze jedna para rąk — Watykanu. Reakcyjna klika papieska czyniła wszystko, aby ta część Ukrainy była jak najmocniej związana ze Stolicą Apostolską, by stała się forpoczta swoistego watykańskiego „Drang nach Osten”.

Od pierwszych dni swej działalności literackiej, w której najwęższe miejsce zajmuje walka z obcymi i rodzimymi gniebielcami narodu ukraińskiego — Jarosław Gałan nie stracił, konsekwentnie i do ostatniego tchu prowadził walkę

przeciwko Watykanowi i jego agenturze na Zachodniej Ukrainie. Gałan przejrzał politykę rozlicznych duszpasterzy, przystających pozorami „krzewienia wiary Chrystusowej” najsromotniejszą akcją przeciwdziałania ruchowi wyzwoleniem mas pracujących. Przekonał się, jak ściśle są ze sobą sprzęgnięte interesy agentów Rzymu i interesy polskich i austro-węgierskich feudałów — obszarników a później burżuazji tych krajów, jak i rodzimych komwojażerów tych wrogów sił. I wypowiedział tym ponurym siłom walkę: ostrą, nieubłaganą, konsekwentną. Jego opowiadania, sztuki teatralne, komedie, artykuły, felietony i wreszcie pamflety — to walka. „Otwarcie mówiąc” — pisze w pamflecie „Ja i Papież” — konflikt między nami rozpoczął się dorywczo, dokładnie ze 40 lat temu, kiedy to obecny Pius XII był jeszcze młodym papieżem Pacellim, a papieżem był Pius X. Każdego niedzieli nauczyciel prowadził nas parami do kościoła... mówiąc nam, żeśmy kochali cesarza Franciszka — Józefa i żeśmy nienawidzili „Moskali”, których, mawiał on, należy wyciąć w pień. Jednak, młody był „Moskali”, pan — ojciec był nas, uczniów. Władze kościelne wypowiadały młodemu Gałanowi i jego kolegom zimną wojnę. „Wkrótce — pisze — przekonam się, że takich grzeszników jest niemało. Do nich należeli przede wszystkim gimnazjaliści biorący udział w uroczystościach ku czci Iwana Franko. Dla nich nauczyciel wymyślił specjalną karę: w największym uzal kazał im przebywać w skwarnej miejscowości. Na protesty odpowiadał: Aha! Na koncercie ku czci Franko recytować: „Dajmy do słucha”. Ot wam słonce. Pogrzejcie się!”

Ucisk społeczny i narodowościowy, a także swoiste „metody wychowawcze” księży wpłynęły na kształtowanie się zarodków konfliktu między młodym „buntownikiem” a otaczającym go światem obszarniczo — burżuazyjnej przemocy i pseudo-chrześcijańskiej obłudzie. Powoli kiełkowała żywiołowa nienawiść, która później rozwinęła się w świadomy bunt klasowy, bojowa i nieprzejednana postawa wobec wrogów ludu. Kiedy w okresie „20-lecia” uformowała się grupa pisarzy — antyfaszystów Zachodniej Ukrainy, Gałan przyłączył się do nich, by wspólnie prowadzić walkę plomiennym słowem pisarza. Pisz demaskatorską komedię „Łódź się chwieje”, dramat „Kormorka”. We wszystkich tych utworach występuje przeciwko uciskowi reżimu sanacyjnego, przeciwko bestialstwu wyżyłkowi i znęcaniu się nad chłopstwem pracującym Zachodniej Ukrainy, które z wiarą i ufnością patrzyło na Wschodnią Ukrainę, należąca do ZSRR, budującą z innymi narodami radzieckimi szczęśliwe jutro socjalistyczne. W utworach

tych występuje pisarz przeciwko nacjonalistycznym wrogom jednemu narodu ukraińskiego. Gałan zdiera maskę hipokryzji z oblicza ukraińskich szowinistów, propagujących nienawiść w stosunku do mas pracujących Polski, a solidaryzujących się równocześnie z polityką ucisku narodowościowego, stosowaną przez rządy sanacyjne. Gałan i jego towarzysze — współpracujący z piśmiennictwem „Wikno” — przepojeni są duchem międzynarodowości, utrzymują oni ścisły kontakt z postępowymi działaczami kulturalnymi Polski, wraz z którymi — wiosną 1936 roku — organizują we Lwowie Kongres Obrony Kultury. W tym okresie na łamach czasopisma „Wikno” pod kryptonimem „Jaga” drukował Gałan cięte felietony, demaskujące nacjonalistów i faszystów ukraińskich. Były one krokiem przygotowanym do pamfletów antywytykańskich.

2. W tomie „Utwory wybrane” znajdujemy najbardziej znane z pamfletów Gałana „Ja i papież”, „Ojciec ciemności i jego towarzysze”, „Zmierzchłoty cudzoziemiec”, „W służbie szatana”. Pierwsze dwa są najbardziej charakterystyczne dla metody twórczej Gałana.

Pamflet „Ja i papież” — to po prostu wycinek autobiografii pisarza, dotyczący jego stosunku do państwa oraz jego rzeczników na Ukrainie. To równocześnie namieszanie oskarżenia Watykanu i jego szpiegów ukraińskich w rodzaju metropolity Andrzeja Szepczyckiego. W żadnym z pamfletów nie znalazła, tak spontanicznego wyrazu nienawiści Gałana do wrogów ludu. W ten sposób w utworze przeplatają się nawiązanie elementy autobiograficzne z ogólnonarodowymi, krytycznymi i indywidualnymi z krytyką społeczną. „Kilka lat temu umarł mój przeciwnik — Pius XII. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że w osobie tego papieża miał być jeszcze bardziej nienawistnego wroga, aniżeli w dwóch poprzednich, z Benedyktem XV włącznie. Albowiem był on jednym z ojców chrześcijaństwa, Trzeciej Rzeszy, on pchał Hitlera do wojny przeciwko ZSRR, na jego rozkaz ogniem i mieczem trzebił Piłsudski moich nieuniknionych rodaków z Chełmszczyzny i Wołynia”.

Nieco inny charakter ma pamflet „Ojciec ciemności i jego towarzysze”. Element indywidualny usunięty został tutaj na bok; cały utworz został „zobiektywizowany”. Na nim wypadnie nam się zatrzymać dłużej, nie tylko dlatego, że autor pracował nad nim w latach 1948 — 1949 r., ale także dlatego, że jest to jeden z najlepszych, najbardziej bojowych utworów doskonałego pamflety.

Oto początek: jakis Rossini, ry-

cerz gieldy rzymskiej wysłał do jego świętobliwości, Piusa XII, list, którego treść można by tak lakonicznie wyrazić: „Gdzie są moje pieniądze? Oddajcie mi moje pieniądze”. Stolica Apostolska odpowiada milczeniem; wtedy uparł się Rossini, w gazecie „Voce Repubblicana” ogłasza tekst powyższego listu oraz facsimile niespłaconych mu przez Watykan weksli... I teraz Gałan zapoznaje nas z całą galerią figurek szachownicy papieskiej, ze sprzężkami skomplikowanego mechanizmu watykańskiego. Na przykład — Eduardo Cippico Pretnera. Stolica Apostolska, przyparta do muru przez gieldziarza, każe Cippico na niby zaarrestować, jako winnego utraty 370 milionów lirów Rossiniego. W rzeczywistości wiska mu nowiuteńki paszport — do Szwajcarii, a w nim czek na sporą sumę... Gałan pokazuje, jak Rossini staje Cippicowi w poprzek drogi, sprowadzając policję, która go aresztuje. Ale spryt Watykanu znów dochodzi do głosu — próbuje bowiem uwolnić swego sługę. Jednak — znowu Rossini okazuje się sprytniejszy i wyciąga ostatni atut: pokazuje publicznie weksle z podpisami. Giulia Guidetti, sekretarza Specjalnego Komitetu Kardynałów, zarządzającego finansami Watykanu.

Galan całą historię kończy drugoczącym wnioskiem: „Sprawa Guidetti-Cippico po raz pierwszy już z rządu wykazała, że na 44-hektarowym terytorium Watykanu mieści się największy w Europie czarny rynek walutowy”. Wnikliwie i przekonująco przedstawia Gałan rozwój potęgi finansowej Watykanu w sprzyjającej atmosferze drugiej wojny światowej. Aczkolwiek autor sprawą aliansu hitlerowsko-watykańskiego zajmuje się bardziej szczegółowo w pamflecie pt. „W służbie szatana” — tu także nie rezygnuje z napiętnowania tych zżytych stosunków. Wykazuje, jak dzięki tej unii oraz niezmordowanej przedsiębiorczości czcigodnych biskupów i prałatów — kiedy ponura noc zawiśla nad Europą — kasy Watykanu pękały od nadmiarów złota: „Niby wyspa wśród burzliwego Oceanu” — pisze Gałan — trwała niezłomna, „opoka Piotrowa”, umożliwiająca pasażerom tonącego faszystowskiego okrętu uratowanie zagrabionych skarbów...”

A co się stało, gdy okręt hitlerowski zatonął? „Watykański statek po rozgromieniu Hitlera płynął w furatrze polityki Stanów Zjednoczonych Ameryki...” — stwierdza Gałan, nie poprzestając jednak na konstatacji, ale dostarczając szeregu rzeczowych dowodów.

Galan przekazuje czytelnikowi obraz systematycznego zaciepania się interesów watykańskiego i waszyngtońskiego Kapłanów, obraz całkowitego wprężania się Watykanu w rydwan polityki wojennej USA. Owoc nowego aliansu nie dają długo

czekać na siebie. Bo Stolica watykańska coraz usilniej zaczyna propagować hasło: „Wiara bez czynów — jest martwa”, wkładając w nie agresywną treść i polecając je szczególnie biskupom i zakonnikom. Dziś zwłaszcza aktualne są te ustępy pamfletów, w których został zdemaskowany Watykan, jako inspirator odwetowych zachcianek neohitlerowskich elementów Trizonii; Watykan, który przy pomocy swych agentów, adnauerskich propaguje podział Niemiec, rewizję granicy pokoju na Odrze i Nysie, ukaranie „swawoli” Polaków. Oszukując prostych ludzi, wykorzystując ich uczucia religijne, Watykan pragnie realizować swą antypokojową politykę. Gałan demaskuje ją przy pomocy własnych słów Watykanu: „Najświętsza Stolica (słowa kurii watykańskiej, MW) chroni nietykalności zasady zabraniającej wolności sumienia, prasy, zrzeczeń i zebrań, gdyż służą one sposobowi krzewienia idei nie dających się pogodzić z dogmatami kościoła”. Po tym cytacie następuje drugoczący komentarz Gałana: „W ten sposób, na czas pewien, uatony faszizm prawnie i jawnie został ponownie wprowadzony przez Watykan, a krzyż katolicki wyrażał spora więź z różnymi liktorami”. Watykan realizując swą politykę, nie przebiega w środach: Stolica Apostolska, zapewnia Montini, sekretarz stanu Watykanu — „Nie zawsze będzie w stanie wybierać sposoby, lecz cel ostateczny uświęca środki, do których, być może, chcąc nie chcąc, trzeba będzie się uciec”.

Na tym można już poprzestać. Na podstawie dotychczasowej analizy niektórych pamfletów można sobie wyrobić zdanie o nich, jak i o innych utworach Gałana.

3. Uderza w nich bojowa, nieprzejednana postawa, żarliwość ideologiczna, pasja demaskatorska. Te podstawowe elementy galanowskiej metody twórczej umożliwiły mu stworzenie takich pamfletów, które zasadniczo się różnią od pamfletów pisarzy burżuazyjnych, tej najczęściej bezideowej mieszaniny inwektiw formalistycznych chwytów polemicznych, żonglerki słownej, pływki biżkotliwości. Pamflety Gałana nasycone są treścią, konkretnymi faktami, bardziej lub mniej znanym materiałem historycznym, zaczerpniętym z historii, pamiętników, roczników gazet.

Historia jest wiernym towarzyszem Gałana i historię jego pamfletów antywytykańskich jest oczywiste. Ma on, rzecz jasna, kilka swoich odrębności i o niektórych z nich trzeba wspomnieć. Ten historizm jest przede wszystkim dokładny i rzeczowy. Dalej — drugą jego właściwością jest fakt, że nie zawisa w próżni, ma swoją aktualną wymowę, stanowi podbudowę omawianych przez Gałana wy-

darzeń i faktów współczesności, dnia dzisiejszego. A więc historizm ten — to po prostu pomoc przy interpretacji współczesności.

Jako następna właściwość tego historizmu można by wymienić jego dialektyczny charakter. Gałan potrafił nie tylko przewertować różne przyczynki historyczne, dokumenty, pamiętniki, archiwa, roczniki gazet, ale także umiał czytać te dokumenty, znał dobrze język historii, umiał w gąszczu zjawisk historycznych dostrzec prawidłowości rozwoju; umiał z różnych aliansów papieskich, przemówień papieża, biskupów, prałatów i innych wycisnąć prawdę, ewolucję, mechanizm rozwoju Watykanu — od mroków średniowiecza aż po dzisiejsze bratanie się z Hitlerem i Trumanem.

I wreszcie przypomnijmy dużą umiejętność: Gałan nie gardził cytatem, umiał wroga bić jego własnym orężem. Wpłatał cytaty umiejętnie w osnowę swych pamfletów, że nie stanowi on tylko argumentu dokumentalnego, ale jest bardzo często miazdzącym wnioskiem jak np.: „W noc wigilijną 1940 roku — pisze Gałan — w jedną z częstych wówczas nocy, które krwawa chmura zawisła nad ukrytą w polsku, świętobliwą i nieomylną ojciec zwrócił się przez radio z orędziem do przysięganych bractw nazistowskim, lecz nieujarzmionych narodów: „Nienawisć — to wrogi narodów... Nienawisć doprowadza do tego, że narody gotowe są widzieć winę tam, gdzie uidać tylko błędy i choroby, potrzebując leczenia, a nie kary... Należy nienawidzić nie grzesznika, lecz grzech... Miłość do wroga — to największy heroizm”.

Nagroda Stalinowska pośmiertnie przyznana Gałanowi jest najwyższym wyróżnieniem jego świetnych utworów. W ten sposób podkreślono również wagę pamfletów antywytykańskich dla naszych dni, kiedy ponure siły — którym Gałan jeszcze przed 30 laty wypowiedział wojnę — coraz bardziej agresywnie próbują zatrutą atmosferę naszej współczesności, szacząc ją propagandą wojennej, całkowitej zagłady i wiecznych mroków pod pozorem „obrony” zagrożonej rzekomo wiary, „obrony” katolicyzmu.

Pamflety galanowskie wypowiadają walkę tym ciemnym siłom. Gdy ludzie z watykańskiego „warownego obozu” zabijali Gałana sądzili, że zabiją ideę, sprawę, o którą Gałan walczył, dla zwycięstwa której oddał to, co najdroższe — życie. Przeliczyli się! Po pisarzu-bojowniku zostały jego utwory, między nimi bojowe pamflety antywytykańskie, które tak długo demaskować będą nie tylko „bogo-bojną” robotę watykańskiego „pasterza pasterzy” — jak długo trwać będzie jeno fałsz, obłuda, zbrodnia.

Marian Wilk

STANISŁAW SIEKIERSKI

POPULARYZOWAĆ OSIĄGNIĘCIA BIBLIOTEKARZY

JEDNA z gminnych bibliotekarek woj. krakowskiego w liście do Redakcji „Wsi” opisy metody pracy z czytelnikami, swoje osiągnięcia i troski, wreszcie zwraca się z zapytaniem:

„Proszę, odpisać mi czy dobrze pracuję i jakie mam braki w swej pracy”. Korespondentkę naszą niepokoją stosowane formy pracy, nie wie czy to dobrze, że początkującemu czytelnikowi, który szuka Miniszkówny daje Rodziewiczównę, zapytuje, czy nie należałoby w każdej bibliotece trzymać kilka „słabszych książek”, aby mieć czym pozyskać czytelnika na stałe, zapytuje, czy to dobrze, że pracuje sama, nie wciągając miejscowego aktywnego młodzieńczego i społecznego. List przepelnięty jest ogromną troską bibliotekarki o swych czytelników. „Biblioteka gminna jest jakby moim dzieckiem, bo gdy trzy lata temu przyszedł do biblioteki, jako kierownik, zastałam 17 czytelników i to prawie samą inteligencję. Dziś biblioteka liczy około 300 czytelników”. Jest w tym liście i w wielu jeszcze podobnych coś niepokojącego, coś, co można by nazwać „niepokojem wyznalczym”, bo tak chyba dąłoby się nazwać naszych bibliotekarzy, szukających różnych form współpracy z czytelnikami i trzeba powiedzieć, że formy tej współpracy są niejednokrotnie bardzo pomysłowe, efektywne i przynoszą bogate plony. Oto np. Grabowska Stanisława, bibliotekarka gminna w Krosinie, pow. Szczecinek, podaje między innymi taki przykład: „Jedną z form propagandy jaka stała prowadzić, to doręczanie książek zapakowanych do punktów bibliotecznych przez rolników, którzy przyjeżdżają na skup bydła. Są oni obecni przy rozpakowywaniu książek w punkcie, idą później do domu i mówią sąsiadom, jakie to książki przysły do gromady”.

Inne, mniej oryginalne, ale bardziej przemysłowe i obliczone na dłuższy etap metody stosuje bibliotekarka Narebska w Kokcu. Jest zjawiskiem dość powszechnym, że 50 proc. czytelników bibliotek gminnych i powiatowych stanowi młodzież starszych klas szkół podstawowych i średnich. Narebska postanowiła te młodzież wykorzystywać właśnie, jako agitatorów w ich własnych rodzinach. Bibliotekarka w indywidualnych rozmowach z młodzieżą ustalała zainteresowania czytelnice rodziny i przekazywała od-

powiednie książki dla „tatusia” lub „mamusi” z prośbą, aby ją zwrócił sam czytelnik, w ten sposób werbuje nowego miłośnika książki, który — gdy przyjdzie do biblioteki, będzie czytał każdą książkę, jaką mu bibliotekarz wskaże, odpowiednio go do niej nastawiając”.

Ze współpraca ze szkolnymi dziećmi daje dobre rezultaty, świadczy o tym najlepiej liczne głosy, omawiające wkład młodzieży szkolnej w rozwój czytelnictwa poszczególnych okręgów.

Bibliotekarka Olszewska z Mławy wykorzystwała w swej pracy taki wypadek jak choroba pszczoł, dając dowodem odpowiednią lekturę na tematy pszczelnictwa, aby później rozbudzić w hodowcach zainteresowania bardziej ogólne, jak np. problem „Kobieta w ustroju socjalistycznym” na podstawie lektury: „Marta”, „Malka”, „Anna proletariuszka” itd.

W Nowym Sączu osiągnięto w niektórych gminach 42,5 proc. czytających w stosunku do ludności zamieszkałej, a to dzięki temu, że bibliotekarze żywo interesują się problemami nurtującymi teren. Bibliotekarze gminni biorą udział w zebrańach solistów, przez co mają możliwość oddziaływania poprzez nich na gromady, chwytają na gorąco wszystkie wylaniające się problemy na terenie gmin. Takich nowatorskich prób współpracy bibliotekarzy z czytelnikami moglibyśmy przytoczyć całe dziesiątki.

Kiedy jednak przypominamy sobie fakty przytaczane przez ministra Sokorskiego, świadczące o tym, że niektóre ośrodki w ogóle z bibliotek nie korzystają, kiedy uświadamiamy sobie, że większość przedsiębiorstw, skupiających poważne ilości młodzieży robotniczej nie korzysta w ogóle z bibliotek, a wiele bibliotek istnieje prawie wyłącznie na wykazie, będąc w rzeczywistości magazynem pełnej ilości książek, lub posiadając kilku czytelników, wówczas przekonamy się, że w pracy wielu jeszcze naszych bibliotek nie dzieje się najlepiej, wówczas uzasadnione będą niepokojące pytania bibliotekarki z krakowskiego, wówczas zrozumimy te wielką dysproporcję w osiągnięciach poszczególnych bibliotek.

Wiele faktów wskazuje na to, że praca z bibliotekarzami na odcinku współpracy z czytelnikami prowadzona jest nieodpowiednio, że poważne osiągnięcia, jakimi możemy się



Foto CAF

poszczycić zależą w większości wypadków od przedsiębiorczości bibliotekarza, a nie są akcją zaplanowaną i prowadzoną systematycznie przez czynniki do tej pracy powołane.

Mam przed sobą skrypty wydawane przez Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, przeznaczone dla doskonalenia bibliotekarzy systemem korespondencyjnym.

Trzeba stwierdzić, że bardzo skrupulatnie opracowany jest dział techniczny i to jest poważnym osiągnięciem wyżej wymienionego wydawnictwa, ale wydaje mi się, że opracowanie techniczne to dopiero połowa zagadnienia, że przeciwko pozostałym celom pracującym — czytelnikom.

Niestety, o współpracy bibliotekarza z czytelnikami dowiemy się tam bardzo mało. Wśród kilkunastu broszur odnalazłem jedną, która, z tytułu sądząc, powinna traktować o tym bardzo szeroko. „Współzawodnictwo pracy w bibliotekarstwie” — autor, Stanisław Telega, bardzo szeroko pisze o formach i możliwościach współzawodnictwa, o jego zadaniach a nawet historii, kiedy jednak przechodzi do rozdziału „O co powinniśmy współzawodniczyć w bibliotekarstwie”, działu wydawało by się zasadniczego, stwierdza bardzo szalenie, że „Czytelnik jest dla nas najważniejszą normą, najwyraźniejszym wskaźnikiem naszej pracy” jednak poza to stwierdzenie prawie nie wychodzi, uciekając się do bardzo wygodnego zalecenia: „Wybór środków, szukanie dróg i sposobów, usprawniających naszą pracę, otwiera przed

nam szerokie pole do racjonalizacji, do stosowania śmiałego nowatorstwa”. Ale sprawa jest aż nadto poważna, aby można pozwolić na tak szeroko i daleko posunięte eksperymenty chałupnicze i na tym poprzestać. Autor wyciża wprawdzie kilka metod pracy z czytelnikami w ZSRR, ale przecież to nie wystarczy. Doświadczenia radzieckie należy bezwzględnie wykorzystywać i to w jak najszerszym stopniu słowa znaczeniu, ale kilka przykładów to jeszcze nie pełny zarys metody i nie szeroki wzór. A przecież wymieniona broszurka to jedno z bardzo niewielu opracowań zagadnienia pracy z czytelnikiem.

Oczywiście, trudno jest napisać instruktorz dla poszczególnych bibliotekarzy, ustalić jak powinni oni zorganizować pracę z czytelnikami, jak powinni agitować poszczególne osoby, bo rzeczywistość trudno jest za biurkiem wymyślić, jakimi sposobami przekonać młodzież robotniczą o konieczności czytania literatury pięknej, ale zupełnie możliwe jest zebranie doświadczeń z bibliotek tych, które mają na tym polu poważne osiągnięcia, wykorzystując przy tym doświadczenia bibliotekarzy radzieckich. Weźmy chociażby takie zagadnienie, jak zróżnicowanie kręgu odbiorców, które często u nas nie mogło być postawione właściwie na skutek wadliwego systemu rozprawiania książek, które wysyłano ogólnie nie licząc się zupełnie z zapotrzebowaniem czytelników. Bibliotekarze zwracali na ten temat bardzo często uwagę. Oto Cybala Ja-

nina, bibliotekarka z gminy Redle, pisze:

„Dużo nam przysyłają tych samych książek, które już mamy i czytelnicy czytali, jak np. wybór Konopnickiej, Szolochowa, Starą Baśń, tych książek mamy pełne półki i jak można czytelnika zachęcić do czytania, kiedy on mówi, że to już czytał 3 razy”.

Bardzo niedobrze, że pomija się prawie zupełnie problem literatury fachej, która na obecnym etapie powinna odegrać bardzo poważną rolę w doskonaleniu tysięcy nowych młodych i starszych pracowników, którzy napotykać na ogromne trudności w swej pracy zawodowej.

G.W. Bakutina w opisie swych doświadczeń z Biblioteki Rady Zakładowej Fabryki Traktorów w Stalinogradzie podaje szereg przykładów w jaki sposób bibliotekarz potrafił skierować czytelnika do właściwych źródeł, które pomogły mu zwiedzić dość dotychczasowy system pracy i przyczynić się do zrealizowania wielu pomysłów racjonalizatorskich. Oczywiście, że nie znaczy to wcale, aby bibliotekarz był alfą i omegą, znał wszystkie dziedziny nauki i zawody. Bibliotekarz powinien mieć jednak zapewnioną możliwość skierowania swego czytelnika tam, gdzie otrzyma on rozwiązanie nurtujących go problemów. Autorka podaje między innymi taki przykład:

„Pewnego razu przychodzi młodziutki tokarz i mówi: „Przeczytałem polecenie mi książkę, widzę jednak, że brak mi wiadomości z matematyki. Poradźcie, z jakiego podręcznika mam się uczyć”. Nikiforow (bibliotekarz — przyp. SS) odpowiada: „Matematyka należy do tych dziedzin wiedzy, które trudno jest przyswoić sobie bez nauczyciela, straciłbyś na to zbyt wiele czasu. Trzeba zapisać się na kursy lub do szkoły... Powinnościście więc pójść do szkoły Młodzieży Robotniczej” i Nikiforow kieruje tokarza, który przyszedł na konsultację, do szkoły ogólnokształcącej.

Wydać mi się, że na takie postawienie sprawy, stać by było bardzo niewielu naszych bibliotekarzy.

Przyczyn niewystarczającej współpracy bibliotekarza z czytelnikiem należy szukać w złym systemie szkolenia naszych kadr bibliotekarzy, w braku opieki podczas ich konkretnej pracy z czytelnikami, w braku popularyzacji nowych form pracy i ograniczania się do nauki katalogo-

wania, sposobu wypożyczania oraz robienia sprawozdań.

Weźmy dla ilustracji taki problem: Zawsze i wszędzie, przy każdej okazji stwierdza się (miało to miejsce także i na ostatnim zjeździe bibliotekarzy), że ludzie nie czytają polskiej literatury współczesnej i przechodzi się nad tym do porządku dziennego, względnie wymyśla się literatom, że źle piszą, że nie nadążają, że nie mogą zrozumieć, że „popełniają siedem grzechów głównych. I co dalej. Literaci muszą się nauczyć dobrze pisać — wniosek bardzo słuszny i nie ma potrzeby go negować.

Ale jeśli wydaje się w roku kilka nowych powieści, reportaży, opowiadań, trzeba do nich zagitać bibliotekarzy, a ci z kolei przekonają czytelnika. Na szczęście bibliotekarze nie czekali na tę pomoc, dzięki czemu już dziś mogą poszczycić się takimi osiągnięciami jak Eugenia Czado z Łańcuta, u której książki: „Pokład Joanny”, „Początek opowieści”, „Kształt miłości” są w obiegu, a wielu innych bibliotekarzy donosi, że czyta się chętnie Gałaję, Scibor-Rylskiego, Andrejewskiego, a nawet pozycje najnowsze.

To, że literatura współczesna zyskuje sobie coraz szerszy ogół czytelników, może poświadczyć wielu bibliotekarzy, których jest to niewątpliwą zasługą, nie wiedzą jednak o tym ci, którzy na te tematy najczęściej się wypowiadają, oraz ci, którzy odpowiadają za to, że dotąd na tym odcinku nie było najlepiej. Trudności są tu ogromne, bo jak np. rozprowadzić nową książkę o nakładzie 10000 wśród 85000 placówek bibliotecznych, (nie licząc prywatnych nabywców)?

Musimy w tej pracy pomóc wydawnictwom, którzy borykają się z nowymi formami pracy, często na prawdę chałupniczymi sposobami.

W tym celu należało by:

1. W szkoleniu bibliotekarzy położyć główny nacisk na problemy związane ze współpracą bibliotekarza z czytelnikami.
2. Popularyzować osiągnięcia przodujących bibliotekarzy przez prasę i czasopisma fachowe.
3. Rozpocząć systematyczne badania naukowe nad formami współpracy biblioteki z czytelnikami, wpływu książki na dojrzenie świadomości czytelnika oraz pomocy książki w konkretnej pracy zawodowej.

Stanisław Siekierski

PRZED ZŁOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW VI)

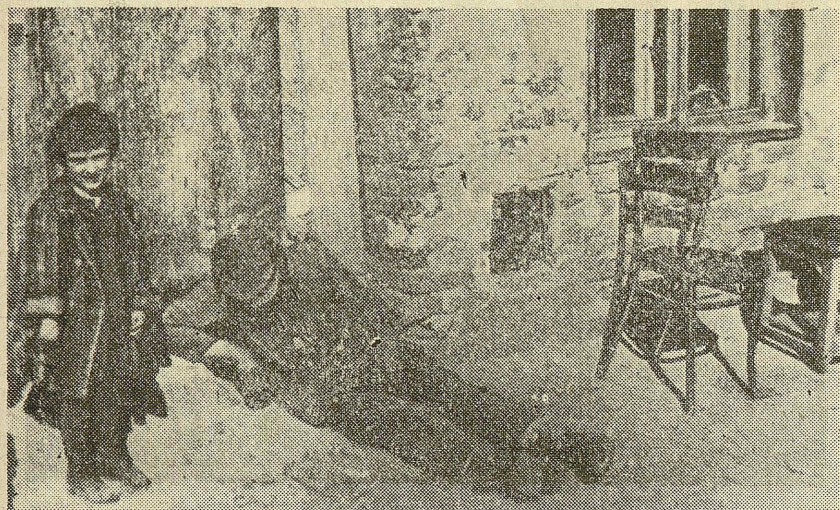
MARIAN NIEWIAROWSKI

SPOTKANIE Z DZIEWCZYNĄ

„Towarzyszu Prezydencie, nie było z czego żyć, dzieci nasze chodziły głodne i bose, a w mieście nie było dla nas pracy, bo jej nawet dla robotników, co tam mieszkali — nie starczyło...”

Dyktowałem te słowa wyjęte z listu, który chłopcy ze wsi śląskiej Kuźnica Wąreżyńska wysłali do Prezydenta, pisząc Mu o swoim życiu przed wojną i przyrzekając w dniu Jego urodzin wcześniej ukończyć się.

Chłopcy z tej wsi siedzą na czas ukończyli, słowa dotrzymali, a list ich znalazł się w „Trybunie”. Lecz



Eksmitowani przed wojną bezrobotny.

Foto CAF

wtedy, gdy dyktowałem te słowa, usłyszałem nagle za sobą głos:

— Ech, niech pan nie przesadza. Tak znowu źle nie było...

Aby przekonywać, trzeba wiedzieć z kim się ma do czynienia. Co to za człowiek, który idzie obok ciebie? Wroga — wiedziałem — nie można przekonać i wroga się nie przekonuje. Ale to nie był wróg. Słuchał mnie, ubrana w lekką wiosenną płaszczkę, wesoła i szczęśliwa, młoda i pełna życia...

Jak przemawia do jej rozumu, jak przekonać tę dziewczynę, której prawdziwe życie zaczęło się dopiero po wojnie, w warunkach zupełnie innych, w innej epoce? Chciałem jej krótko, mocno i dobitnie wytłumaczyć: że osiem milionów zbędnych rąk, że bledaszyby, że strajki głodowe, że szarże policjantów na tłumy... Ale, ona już nie rozumiała, jak można żyć bez pracy, nie widziała nigdy bledaszyby, a słowo strajk znała z podręczników szkolnych... Co robić?

Pojechać z nią do Józefa Nierychły z Orzegowa, który by jej opowiedział jak „żył” bez pracy, jak został wypędzony z kopalni, jak chodził po plebanich i malował ściany — on stary, wykwalifikowany górnik-rebacz. Jak łowił szczygły w pańskich lasach i sprzedawał w mieście on, stary specjalista od przepiórek, niezastąpiony fachowiec... Pojechać z nią do kopalni „Wierek” i zapoznać ją ze strażnikiem Chrońcem, który dwadzieścia lat był bezrobotny... Żeby jej opowiedział, jak on, młody wtedy górnik chodził po prośbie... bo nie było co jeść, choć sklepy były pełne towaru, wędlin, mięsa i czekolady.

Szliśmy do biblioteki, a przekonawać trzeba wszędzie.

— A może poszukamy czegoś o tamtych czasach?

— Wie pan? — urzeczona tą prostą myślą spojrzała ze zdumieniem.

Dostaliśmy do przejrzania na miejscu książki o dzieciach przedwojennych, o smutnych wiejskich dzieciach, o dziewczynkach i chłopcach z różnych stron Polski, kusiędo pisana przez nauczycieli — sucha, beznamienista, spokojnie, bez cyfr. Nosila tytuł „Dziecko wsi polskiej” — próba charakterystyki — praca zbiorowa pod redakcją Marii Librachowej. Wydana w roku 1934 na kładem „Naszej Księgarni” — wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego, jako „tom 41 i 42” Biblioteki Dzieł Pedagogicznych...

Zaczęliśmy przerzucać kartki, oglądać fotografie.

— Tu jest coś o Śląsku.

— Proszę mi pokazać.

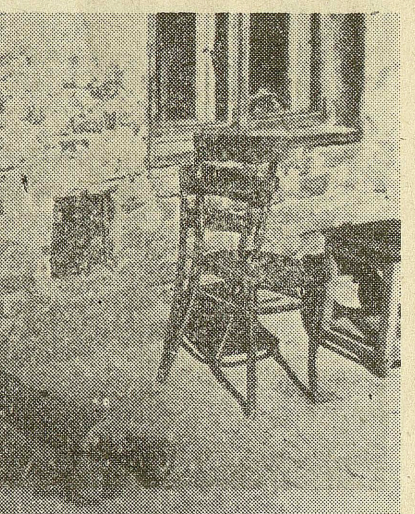
Na stronie 105 nauczyciel śląski Stanisław Chmielewski pisał o dzieciach śląskich. Zaczęliśmy czytać:

„...rodziny śląskie są bardzo liczne, składają się przeważnie z sześciu, siedmiu, a nawet ośmiu i dziewięciu osób, na które pracuje zwykle sam ojciec. Nic więc dziwnego, że dzieci są bardzo biednie ubrane. Jedynie czapki i pończochy noszą tu dzieci ciepłe, ale za to rzadko spotykamy bućki. Większość dzieci nosi pantofle o drewnianych podeszwach, ze skórzanym obiciem na palce. Grube pończochy chronią nogi od odmrożeń. Kłap — Kłap — Słyszmy każde głośniejsze odgłosy. To dzieci spieszą do szkoły. Zdawało by się, że tak lichy ubranie dzieci chronią się przed mrozem w swych rodzinnych domach. Jednakże bywa inaczej.

Na wielkich halach, pokrytych zimną brudną śniegiem, zawsze spotykamy gromadki zgłodniałych dzieci, wygrzebujących spod śniegu i zwrzucających węgiel lub żelazo. Przepędzone przez dozorcę kopalni ukrywają się w pobliżu dołach i czekają na odejście zniechęconego stróża, by znów, gdy z ko-

palni wywożą żwir, rzucić się na dymiące jeszcze żużle w poszukiwaniu odpadków żelaza lub węgla. Po takiej kilkugodzinnej pracy wracają zgnębieni i głodni do osady, by sprzedać zebrane żelazo, a otrzymane pieniądze dać matce na chleb. Taki tryb życia prowadzi dzieci zimą i latem.

Terenem zabaw jest bruk uliczny. Dla większości dzieci teren pracy i zabawy stanowią ulica i hałda, gdzie poznają ludzi i życie, gdzie bardzo często uczą się ich fizyczna i moralna choroba”.



Eksmitowani przed wojną bezrobotny.

Foto CAF

— Tak — westchnęła — więc to tak było?

„...Po przeprowadzeniu pomiarów antropometrycznych w rpojej klasie okazało się, że na 42 dzieci tylko czworo wykazało normalny rozwój fizyczny. Pozostałe dzieci posiadały rozwój poniżej normy. Klatka piersiowa zapadnięta, budowa wąta, mięśnie słabo rozwinięte, a odżywianie zaledwie dostateczne”.

Dziewczyna odłożyła na chwilę książkę.

— Ta muzyka — rzekła cicho — przeszkadza mi czytać.

Na dole pod nami, w Włodowickim Domu Kultury, ćwiczyli właśnie dzieci katowickich górników — tańce.

— Niech pani czyta. To dobra muzyka.

Czytała dalej:

„...większość dzieci śląskich uganiania się za taką czy inną formą zarobkowania”.

Odwróciła książkę, spojrzała jeszcze raz na tytuł, jak gdyby chcąc usprawiedliwić swoje zdziwienie.

— Może weźmiemy teraz co innego? — Możliwe, że przed wojenną śląską gazetę? Ale z którego roku?

— Mam pomysł — rzekła figlarnie — niech pan prosi o komplet z tego roku, w którym się urodziłam.

— Który to rok?

Dziewczyna była jeszcze w tym wieku, w którym kobieta nie ukrywa swych lat, a na odwrót, jest z nich bardzo dumna. Dlatego powiedziała z uśmiechem:

— Trzydziesty czwarty.

Po kilku minutach woźny biblioteki przyniósł nam komplet dziennika śląskiego „Siedem Groszy” z roku 1934.

— Niech pan otworzy numer z dnia, w którym się urodziłam, 28 czerwca. Zobaczymy, co się wtedy działo na Śląsku lub w Zagłębiu?

Zaczęliśmy czytać tytuły:

„BEZROBOTNY SZUKAJĄCY BEZSKUTECZNE PRACY PORZUCIŁ DZIECI SWE W STAROSTWIE”.

Władze policyjne w Lublińcu zrobiły doniesienie na bezrobotnego Piotra Filipa z Lublińca, zam. przy ul. Mickiewicza 27, który starając się przez czas dłuższy bezskutecznie o pracę, pozostawił przed kilkoma dniami rano na korytarzu Starostwa w Lublińcu swych dzieci i nadzoru pięciorga swych dzieci, liczących od dwóch miesięcy do 10 lat, po czym oddał się do domu. Filip uczynił to z rozpaczy, gdyż nie otrzymując ani wsparcia, ani pracy, nie miał środków na utrzymanie swej licznej rodziny.

Ze Starostwa zawiadomiono o tym natychmiast policję, która udała się z dziećmi (najmłodsze znajdowało się w wózku) do domu Filipa przy ul. Mickiewicza 27. Gdy Filip zauważył zbliżającą się z dziećmi policję wyszedł z domu i zamknął drzwi, nie pozwalając na wejście policji. Zdołano go jednak przytrzymać i pod przymusem doprowadzić do domu, gdzie nakazano mu się opiekować nad dziećmi.

— Boże, Boże — szeptała dziewczyna — co to za czas. Nie mogę tego czytać. A co tu jest?

W numerze następnym, z dnia 29 czerwca 1934 roku, ujrzyliśmy zdjęcie obramowane dłuższym artykułem ze spokojnym, a jakże wymownym tytułem:

„WYEKSMITOWANI... TRAGEDIA RODZINNA WEBERÓW Z SZARLEJA”.

Dnia 23 bm. na ulicy Łącznej w Szarleju — Wielkich Piekarach zauważyłem na rogu tejże ulicy tuż pod płotem przyległego domostwa jakieś graty i coś białego.

Podchodząc z zaciekawieniem bliżej i widząc łóżko zasłane pierzyną, pod którą spoczywały eksmitowani: Bolesław Weber, bezrobotny, razem z żoną i dwójkiem dzieci w wieku około 4—6 lat. Przed łóżkiem jakiś cień, szary, parę gratów nieokreślonego przeznaczenia. A dalej — płot...

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wąreżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie — zrozumiała.

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wąreżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie — zrozumiała.

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wąreżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie — zrozumiała.

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wąreżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie — zrozumiała.

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wąreżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie — zrozumiała.

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wokół nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem? — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyły się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkająca pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdał się, wyprowadził się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górach, w jednorodzinnych domach z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze — górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków”, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzyła zdumiona: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wyrusza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślałam zdumiona, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dziećmi pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie”, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa”.

— Tak źle nie było — pan przesadza.

LUDOMIR LEGUT

I WATYCHA BĘDZIE PRACOWAŁ W NOWEJ HUCIE

O D szczytów szedł mrok. Cała dolina wypełniała się powoli ciemnym obłokiem. Jasną plamą rysowało się tylko stado owiec. Watycha wsadził mocniej cybuch faji w zęby i podniósł głowę. W górę chmury umykały w popłochu przed u

EUGENIUSZ KŁOCZOWSKI

O PGR-ach POZNAŃSKICH SŁÓW KILKA

ROZMAWIAMY z brygadzi-
stą oborowym z PGR Strzeszyn,
tow. Stanisławem Surowcem,
sekretarzem miejscowej POP, mło-
dym jeszcze człowiekiem, ale ży-
wym z oborą strzeszyńską już od lat
ciągniętych. Gospodarstwo Strze-
szyn o obszarze ponad 500 ha leży w
obrzebie Wielkiego Poznania. Obora
jako nie w pełni wykonana plan do-
sław mleka za 1 półrocze 52 r. z
powodu różnych przyczyn: brak
pasz po zeszłorocznej suszy, słabe
zaciełanie się krów itp., ale na
pierwszym miejscu — jak mówi
tow. Surowiec — wskutek zbyt
szupkiego i dorywczego w oborze pra-
cującego personelu brygady. „Co
kogo do brygady namówię, to już
po kilku tygodniach, a czasem po
kilku dniach wyrzyna się do fa-
bryki albo do budownictwa i szu-
kaj innego czy innej, ucz doć,
obrzadzać krowy po to, aby ci następ-
ny uczeń znów wiał do miasta”.

W domach robotniczych Strze-
szyna pełno mieszka ludzi, dobrze jest
jednak, gdy choć jedna osoba z ro-
dziny chodzi do roboty w gospodar-
stwie. Całą resztę ludności pochla-
nia miasto, atrakcyjne już nie tyle
wysokością zarobków, ile pracą
„czystszej” i wolnym popołud-
niem. Na plaży jeziora w Strzeszynie
i Klekru opalają się po południu
na słońcu byli pracownicy brygady
ob. Surowca, a obecni o tym tylko
mają, aby pójść w ich ślady. Taki
oto jest bieg wielkiej migracji lu-
dzi ze wsi do miasta poprzez PGR
Strzeszyn. A przecież na odcinku
hodowli i obory opanowanie sytu-
acji nie jest zbyt trudne, ani zbyt
odległe: wystawienie dojarek elek-
trycznej, kolektki oborowej, elektro-
luku do czyszczenia krów nie do-
prowadzi co prawda do redukcji
personelu brygady, bo zwiększająca
się produkcja wymagać będzie
wzrastającego pielęgnowania krów
i ich wymion, ale przy poszczególnym
udaju i obrządku 1 rolnik ob-
sługuje nie 12 lecz 24 krowy, wsku-
tek czego wprowadzić będzie można
i trzeba pracę na 2 zmiana. Wów-
czas personel brygady tow. Surowca
będzie miał możliwość nie tylko pla-
żować się w Klekru, jak koledzy
z miasta, ale też szkolić się i ob-
myślać sposoby zwiększenia we
współzawodnictwie udajów mleka.

Trudniej nieco będzie niewątpli-
wie stworzyć atrakcyjność pracy dla
brygady polowej, już dziś bardzo
zdekompletowanej, bo niefunkcyj-
nych robotników jest ledwo 12. Kie-
rownik gospodarstwa, ob. Waliga,
oblicza z harmonogramu żniw, że
bez dodatkowych ludzi sprzętu w
wymaganym terminie 14 dni ukoń-
czyć się nie da. Pomoc urzędników
z biur — to miła manifestacja, łącz-
ności inteligencji ze wsią, ale trud-
ności nie rozwiąże. SP wyjechać ma
na inne, jeszcze bardziej potrzebu-
jące ludzi tereny, tak jak i wojsko,
którego pomoc w doświadczeniach z lat
ubiegłych jest najbardziej efektyw-
na. PGR Strzeszyn liczył jednak bar-
dzo na nową formę pomocy miastu:
na ekipy robotników fabrycznych
ochotniczo zatrudnionych przez kil-
ka tygodni przy żniwach. Ale te
wszystkie pomoce, to półśrodki. I sto-
ta sprawy — to mechanizacja prac
p i wch, która musi być o wiele
dalej posunięta, a jednocześnie do
polskich warunków należyście dosko-
nowana. Nasze małe, pospolite
polka poprzeczne są smigami i
rowami i drogami, zmienna pogoda
— to zupełnie inne warunki prac,
niż na rozległych stepach Ukrainy i
Kazachstanu. I właśnie dlatego ko-
niecznie są u nas pilne badania sy-
stemu inż. Kowalewa. Dobrze się zo-
rzyło, że pierwsze tego rodzaju ba-
dania — odnośnie pracy sadzarki do
ziemiaków — odbyły się właśnie
na polach Strzeszyna wiosną rb.
Badania te stanowią dopiero drobny
fragment wielkiej pracy, jaką w
dziedzinie przejmowania mechaniza-

cji i doświadczeń radzieckich, na u-
żytek polskiego rolnictwa wykonać
muszą PGR-y. PGR Strzeszyn to
nie wyjątek, lecz ośrodek dla około
50 gospodarstw podmiejskiego rejonu
Poznania, ośrodek, gdzie atrak-
cyjność miasta wsysa robotników
rolnych. Rejon ten nie tworzy pier-
ścienia otaczającego miasto, ale
wrzyna się w województwo, jakby
mackami wzdłuż kilkunastu linii
kolejowych, zbiegających się w Po-
znaniu. Trudność wykonania na
czas robót sezonowych, np. późna
w rb. przerywka buraków, wynika
tu przede wszystkim z płynności
kadr. Plan produkcyjny schodzi na
wielu odcinkach, nie tylko do bry-
gady ale i do pojedynczego robotni-
ka, który chcąc walczyć skutecznie
o jego wykonanie i przekroczenie,
musi mieć skierowaną uwagę na
szukanie nowych metod pracy, na
pogłębienie swej wiedzy teoretycz-
nej, na łączenie teorii z praktyką.
Zadna bowiem recepta, żaden szła-
blon nie wartościowego w rolni-
ctwie nie stworzy. Pracować tak
mogą jednak tylko ludzie na stałe,
a nie sezonowo.

Choć wśród innych gospodarstw
PGR woj. poznańskiego odpływ ro-
botników do miast nie ma tak ma-
sowego charakteru jak w rejonie
podmiejskim, trafiają się jednak tu
i ówdzie okolice, gdzie brak robot-
nika ze swoistych przyczyn stał się
również ostrą, jak w terenie pod-
miejskim. Tak jest np. w zespole
Ninino, położonym w powiecie Ob-
orniki, gdzie jesteśmy świadkami
przebiegowych trudności charaktery-
stycznych dla obecnego stadium
walki klasowej na wsi. Część po-
wiatu Oborniki — to teren gospodar-
stw kułackich, a raczej wielko-
kułackich: 30-100-hektarowych. Ze-
spół PGR Ninino oparty o 2 więk-

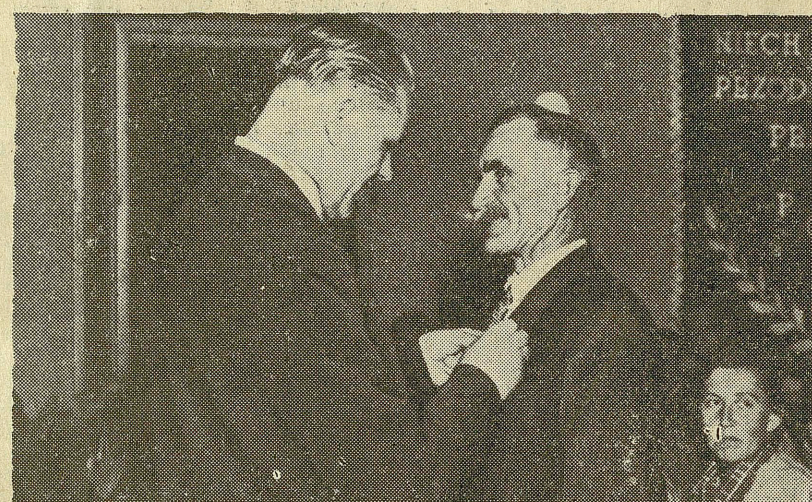


Foto: J. Czarzyński

choć, szukać obszerniejszego i wy-
godniejszego lokum. W tych wa-
runkach inwestycje Trzciniki i Wie-
lenia nawiązywać trzeba na budowę
sporych ilości dwójkał mieszkal-
nych. One ściągają na pewno robo-
tników jeśli nie z poznańskiego, to z
Lubelskiego lub Kieleckiego, i to z
kolejnymi ekipami, gdy się zadomowią,
oprócz trzeba walkę o mechanizację
i racjonalizację.

Jak widzimy, sprawa zatrudnienia
w PGR woj. poznańskiego ma szereg
różnych aspektów i jakimiś
wielkim schematem rozwiązać być
nie może. W każdym niemal gospodar-
stwie dążyć należy do równowa-
gi w potrzebnej obsadzie ludzkiej
w sposób nieco odmienny. Wspólnym
postrzeżeniem tylko naczelny i po-
wszechny problem narastającej me-
chanizacji, organizującej głęboko
nowy, socjalistyczny styl pracy
PGR.

Eugeniusz Kłoczowski

JAN CZARNY

BIEDNA MŁODZIEŻ

Mikolajczyk wygłosił w radiu londyń-
skim przemówienie, wspierając młodzie-
ż chłopską, że musi się uczyć,
nie mogąc, jak przed wojną, pracować
w folwarkach i majątkach prywatnych.

Ach, biedna ta chłopska młodzież,
Bo reżim nasz wciąż ją bodzie
I — co tu ukrywać, niestety!
Gna ją na uniwersytety.

Są nawet wypadki dość liczne,
Ba, rzec można, niemal nagminne,
Ze kończy uczelnie techniczne,
Muzyczne, plastyczne i inne!

Ach, gdzie się te czasy podziały,
Ludowa dziś młodzież się żali,
Gdy wszystkich nas młodych czekały
Wspaniałe kariery fornalni!

Ach, nie ma już, nie ma dworów,
Ach, nie ma już, nie ma folwarków
I nie masz już dzisiaj wyboru,
Bo rektor ci stoi na karku.

Ach, biedny młodzieńcze spod strzechy,
W tej mecie straszliwej byś zginął,
Gdyby nie te słowa pociechy,
Płynące na falach z Londynu!

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50. Adres re-
dakcji: Warszawa, ul. Starokiełewska nr 7
Prenumerata i koloport: P. P. K. „Ruch”. Oddziały w Warszawie, ulica
Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80. Adres wewnętrznego 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Płac 3 Krowy 16, Chmielna 23.
WARTOŚĆ PRENUMERATY
miesięcznie 3,—, 21 kwartałnie 6,—, półrocznie 12,—, 21: rocznie 24,—, 21
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342/110
z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-21412

KRYSZYNA PAŁYS

DELEGACI NA ZŁOT

GRYNIA i Juszka, znają
dziś wszystkie na budo-
wie, a zdobyły popular-
ność w tak wielkim ro-
jowskim ludzi, to nie
fraszka. Na budowie gu-
bią się zresztą nie tylko ludzie. W
lesie rusztowań i murów, niewykoń-
czonych szalowań, w sieci rowów i
wykopów długo trzeba szukać mie-
sca, gdzie zarysowuje się hala, pod-
nosi komin albo otwierają kanały
po wielki piec. Z ludźmi jeszcze
gorzej.

Przed trzema miesiącami Grynia i
Juszka znają zaledwie kilku chłopców
z rodzinnej wioski. Nie zwraca-
no na nich większej uwagi, nawet
wtedy, gdy Gryń i Juszka pierwsi
podjęli zobowiązanie przedzłotowe,
Zobowiązanie podejmowali wty-
każdy, kto miał prawo do używania
przymiotnika „młody”. Było tych zo-
bowiązań na budowie cementowni
w Rejowcu tyle, że meldunki nie
mieściły się w skoroszybie rady za-
kładowej. Każdy uważał bowiem za
honor skrócić czas swojej roboty. A
skończyła brygada jedna, zaraz po-
dejmovala drugie zobowiązanie —
owe serie krótkoterminowych wy-
czynów, złożyły się na jedno długo-
falowe, przyspieszające budowę.

I szłoby wszystko gładko, gdyby
nie majowa pogoda. Zaczęli na nią
narzekać ludzie już w pierwszych
dniach miesiąca. Zamiast słońca pa-
noszyły się zimno i deszcze. Krok w
krok za harmonogramem szli tylko ci,
którzy pracowali pod dachem. Bryga-
dy ciesielskie, murarskie, zbrojarskie
i betoniarze nie mogli w żaden spo-
sób dać sobie rady. Rankiem wyda-
wało się zawsze — będzie pogoda,
zaczynali więc z pospiechem roboty.
Kiedy zaprawa w betoniarkach by-
ła gotowa, tylko wlewać w doły,
już ze skłębionych chmur lało jak
z cebra. Kilka razy na dzień musie-
li schodzić z miejsc robót murar-
skie, cieśle klnąć opuszczali rusztowania,
złorzeczyli takiej pogodzie betoniar-
ze. W żaden sposób nie można by-
ło „podpedzić” roboty; zimno i desze-
ce paraliżowały wysiłki a dni mi-
jały jeden za drugim, kurczyły się
slupki na wykresie wykonanych ro-
bót. W dwudziestym dniu dwie cy-
fry odsłoniły z całą bezzwzględno-
ścią beznadziejność sytuacji. Mieli
poza sobą zaledwie 48 procent pla-
nu; 52 procent, które czekały na wy-
konanie, zdawały się urastać przed
zalogą do rozmiarów olbrzymiej gó-
ry nie do przebycia.

Ala tego dnia zamknęły się nie-
bieskie upusty, wiatr rozpuścił wre-
szcie gromady chmur.
Zwołano zebranie. Wtedy po raz
pierwszy zwrócił na siebie uwagę
młody Gryń.

— Moja brygada rozpoczyna jutro
betonowanie bez przerwy przez 16
godzin.

Tym jednym zdaniem zapoczątko-
wał Gryń wielki zryw blisko tysią-
ca ludzi do „ratowania” planu.
Następnego dnia brygada Grynia
kładała beton na fundamenty wylo-
we pod komy. Betoniarza halo-
wała już dwunastą godzinę z rzędu,
a chłopcy nie ustawali w robocie.
Pozwolili maszynie na odpoczynek
dopiero przed północą.

— Trzy dni odważyliśmy dziś — o-
znajmł Gryń — 300 procent zapisze
w notessie technik. Ciekaw jestem
ile ma Juszko? Tamci też pracują
nie gorzej od nas.

Po jedenastu dniach pojawiła się
na tablicy cyfra 108. Sto osiem wy-
robionych dni. Brygady Juszki i
Grynia nie notowały niższych wy-
ników od 395 proc. normy dzien-
nej.

O Juszcze i Gryniu mówili się:
To ci betoniarze, którzy nie wyla-
zili z dołów. Twardo chłopaki,
twardsze od żelbetonu.

Naprawdę twarde chłopaki ten
Gryń i Juszko. Obaj z chełmskiego,
obaj mają po 22 lata. Henryk Jus-
ko pochodzi ze wsi Sarniak, Jan
Gryń urodził się za Bugiem a zna-
lazł się w Horodysku, dopiero w
1945 roku. W rodzinie jednego i
drugiego wyrastało po pół tuzina
dzieci, a ziemi było wszystkiego nie
więcej jak dwa hektary.

Juszko musiał szukać samodziel-
nie sposobu do życia zaraz po u-
kończeniu pięciu klas w szkole pod-
stawowej. Wyczał w gazecie wia-
domość o przyjmowaniu młodzieży
do liceum górniczego. Wziął z domu
na drogę bocheńsk chleba i serek,
wyprosił u matki pieniądze na dro-
gę i wsiadł w Chelmie do pociągu.
Tak wyglądał jego start do samo-
dzielności życia.

W Bytomiu nauka szła mu do-
brze i byłby już dziś fachowcem w
śląskiej kopalni, gdyby śmierć ojca
nie pomieszała zryków. Siostry po-
wychodziły za mąż, starszy brat ob-
rzucał służbę wojskową, matka sta-
ruszka została sama. Ktoś musiał o-
brobić cztery morgi pola. Rzucił
wtedy Juszko z ciężkim sercem i-
cium w Bytomiu, chociaż do ukoń-
czenia brakowało tylko rok nauki
i wraca do matki. Morgi obrabiał
tylko rok, dłużej nie wytrzymał. W
Rejowcu wiosną 1950 r. zaczęto
budowę wielkiej cementowni. Prze-
konał starszuch, że zarobi tam wię-
cej niż w domu i znów wyszedł z
Sarniak z węzłkiem w rękach.

Postawili go początkowo jako o-
peratora przy betoniarce. Praktyko-
wał przy maszynach niedługo. Po
trzech miesiącach zgłosił się sam do
betonowania, bo płacił od metra a
jemu chodziło o zarobek.

W jaki sposób zebrał kolo siebie
ośmiu chłopaków z rodzinnej wsi
żaden dziś nie potrafi wytłumaczyć,
ale sami twierdzą, że wybrali go
dobrowolnie na brygadiera, ponie-
waż potrafił sobie najprędzej pora-

zić ze wszystkimi trudnościami i ro-
botę zorganizował jak należy.

Gryń nie ukończył nawet dwóch
licealnych, musiał się zadowolić
szkołą podstawową. On też zgroma-
dził dwunastu chłopców ze swojej
wioski. Na wielkiej budowie razem
z Juską wykazali swoje zdolności,
chłopski upór przekształcili w wy-
trwałość, która potrafi usuwać w
pracy nawet takie zapory jak 52
proc. planu w ciągu 10 dni. Wokoło
Grynia i Juszki zebrało się kilkun-
astu chłopaków z Sarniak i Horo-

kułacy podśmiewali się ironicz-
nie, niejednemu może by i zalał jej
sada za skórę, gdyby Lipkowska
nie była rola i mocno zbudowana.
Z taką wolei nie zaczynać. Rączki
lekkiej nie miała — widać to było
od razu.

— Zobaczymy co będzie w po-
lu — mówili.

Wiosną tego roku przydzielono ją
do dwóch spółdzielni produkcyjnych
— Rozkopaczewa i Starej Woli. Już
po czterech dniach powróciła do ba-
zy.

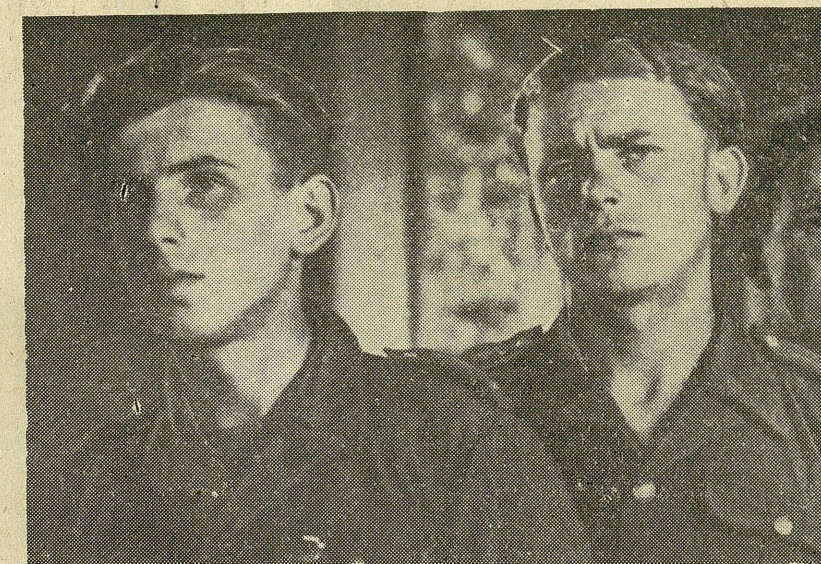


Foto Cz. Swirta

dysk, bo czują się z nimi pewniej
na nowej drodze, nieznanej do nie-
dawna chłopom z chełmskiego.

Oto okoliczności, w jakich nazwi-
ska Gryń i Juszko znalazły się na
listach delegatów na Złot Młodych
Przodowników—Budowniczych Pol-
ski Ludowej. W meldunkach napi-
sano obok nich zaszczytne słowo „bo-
hater pracy”.

Z Gryniem i Juską pojedzie na
Złot Karolina Lipkowska, trakto-
ryzka z POM-u Skrobów. Jej
start do nowego życia odbył się też
w powiecie chełmskim. Zaczęła od
Ośrodka Szkolenia Traktorzystów.

Dzieciństwo miała jeszcze smut-
niejsze od Grynia i Juszki. Spędziła
je na służbie u kułaka. Pasanie
krów, obrządki w oborze, stałe zgię-
ty grzbiet przy pocieniu, okopywa-
niu, w czasie żniw i wykopków a
wzmacnianiu za wymysły i oddzielną
miska — rodziły w dziewczynie
bunt. Nie wytrzymała długo na ta-
kim chlebie i wróciła do domu. Po-
wiedziała, że pojedzie do Chelma
uczyć się jazdy na traktorze. Dosyć
ma zginania pleców u kułaka.

ADAM SARN

BIUROKRATA
CZYLI „NOSIWODA”

SPRAWA pompy—to cała hi-
storia związana zresztą ściśle
z hodowlą. Zepsuta ona do
krwi przewodniczącemu, zarządcy
i hodowcom. Trzeba ją opowiedzieć
od początku, ku przestrodze dla
tych biurokratów zaa biurek, któ-
rzy wzorem koszańskiego rejonu-
wego kierownictwa robót wodno-
melioracyjnych zaniedbują swoje
obowiązki względem żywoitnych in-
teresów wsi.

W Tymieniu obory są zaopa-
trzone w urządzenia wodociągowe.
Wmontowane nad oborą dwa po-
tężne zbiorniki dostarczają wodę do
wszystkich budynków gospodar-
czych. Do zbiorników elektryczna
pompa wodę tłoczy. Wygoda i zdro-
wie.

W lecie 1951 r. stało się jednak
nieszczęście. Pompa przestała dzia-
łać. Zawiadomiono o tym Rejonowy
Urząd Wodno-Melioracyjny w Ko-
szalinie. Przyjechali fachowcy i
pompe naprawili. Niestety, działała
tylko przez dwa tygodnie.

Wtedy dopiero zaczęło się... Kil-
kadziesiąt razy zawiadamiano ustnie,
pisemnie, telefonicznie właściwe
„czynniki”. Nie pomagalo. Przewo-
dniczącemu ustyd już było tak się
naprzykrzać ludziom. Wysłał więc
innych. Bez rezultatu. Ze strumyka
przepływającego obok czerpano wo-
dę na potrzeby chlewni, konie i
krowy pojo no w strumieniu. Broni-
sław Gatóska pocieszał, że zima
sprzyja spółdzielni, bo gdyby tak
w styczniu przyszły mrozy i woda
w strumieniu zamrzalaby.

Ala mroź na szczęście nie poja-
wił się. Pojawił się za to (również
na szczęście) przedstawiciel gazety.
Zapisał i pojechał.

Niedługo potem w Koszalinie czy-
tano felieton w dzienniku „Wola
Ludu”.

„W pewnym mieście kierowni-
ctwo Miejskich Zakładów Komu-
nikacyjnych zwlekato długi czas z
potaczeniem odległego osiedla ro-
botniczego linią trolejbusową ze
śródmieściem. Nie mieli — jak mó-
wili — możliwości.

Zarząd miasta znalazł jednak spo-
sób. Prosty i nieskomplikowany.
Przedsiębiorstwo zakładów komu-
nikacyjnych ze śródmieścia do
tego osiedla. Wynik był. W krótkim
czasie osiedle otrzymało linię komu-
nikacyjną.

O takich sposobach nie wiedzą
jednak w Koszalinie. Oto dowód:
Spółdzielnia produkcyjna w Ty-
mieniu, powiat Koszalin, posiada

Wyszło na jaw jakim sposobem
wyprowadziła innych. Łączyła sprzęt
w agregaty. Przypiąć bronę za plu-
giem albo siewnikiem to prosta
sprawa, jednak nikomu nie przyszło
to do głowy. Lipkowska biła chłop-
ców nie tylko w robocie, potrafiła
lepiej zorganizować pracę.

— Dlaczego dyrekcja POM-u-Skro-
bów nie spopularyzowała metod
pracy traktorzystki Lipkowskiej je-
szcze w czasie siewów? — pytano
w lubelskiej prasie. Zalogą skończy-
łaby siewy o kilka dni wcześniej i
miała poważne oszczędności w pali-
wie.

Drogi z kułackiego podwórka po-
przez POM do Srebnego Krzyża Za-
sługi nie potrafi każdy odszukać sa-
modzielnie i zdobyć delegacji na
Złot. Zrobiła to Karolina Lipkow-
ska, łamiąc stare przesady w swoim
domu, uprzedzenia kolegów w
POM-ie, odnajdując nowe metody
pracy.

Tacy delegaci na Złot, czyż nie
doskonali to zadatek na socjali-
stycznego człowieka?

Krystyna Pałys

W tymieniu obory są zaopa-
trzone w urządzenia wodociągowe.

Wmontowane nad oborą dwa po-
tężne zbiorniki dostarczają wodę do
wszystkich budynków gospodar-
czych. Do zbiorników elektryczna
pompa wodę tłoczy. Wygoda i zdro-
wie.

W lecie 1951 r. stało się jednak
nieszczęście. Pompa przestała dzia-
łać. Zawiadomiono o tym Rejonowy
Urząd Wodno-Melioracyjny w Ko-
szalinie. Przyjechali fachowcy i
pompe naprawili. Niestety, działała
tylko przez dwa tygodnie.

Wtedy dopiero zaczęło się... Kil-
kadziesiąt razy zawiadamiano ustnie,
pisemnie, telefonicznie właściwe
„czynniki”. Nie pomagalo. Przewo-
dniczącemu ustyd już było tak się
naprzykrzać ludziom. Wysłał więc
innych. Bez rezultatu. Ze strumyka
przepływającego obok czerpano wo-
dę na potrzeby chlewni, konie i
krowy pojo no w strumieniu. Broni-
sław Gatóska pocieszał, że zima
sprzyja spółdzielni, bo gdyby tak
w styczniu przyszły mrozy i woda
w strumieniu zamrzalaby.

Ala mroź na szczęście nie poja-
wił się. Pojawił się za to (również
na szczęście) przedstawiciel gazety.
Zapisał i pojechał.

Niedługo potem w Koszalinie czy-
tano felieton w dzienniku „Wola
Ludu”.

„W pewnym mieście kierowni-
ctwo Miejskich Zakładów Komu-
nikacyjnych zwlekato długi czas z
potaczeniem odległego osiedla ro-
botniczego linią trolejbusową ze
śródmieściem. Nie mieli — jak mó-
wili — możliwości.

Zarząd miasta znalazł jednak spo-
sób. Prosty i nieskomplikowany.
Przedsiębiorstwo zakładów komu-
nikacyjnych ze śródmieścia do
tego osiedla. Wynik był. W krótkim
czasie osiedle otrzymało linię komu-
nikacyjną.

O takich sposobach nie wiedzą
jednak w Koszalinie. Oto dowód:
Spółdzielnia produkcyjna w Ty-
mieniu, powiat Koszalin, posiada

Wyszło na jaw jakim sposobem
wyprowadziła innych. Łączyła sprzęt
w agregaty. Przypiąć bronę za plu-
giem albo siewnikiem to prosta
sprawa, jednak nikomu nie przyszło
to do głowy. Lipkowska biła chłop-
ców nie tylko w robocie, potrafiła
lepiej zorganizować pracę.

— Dlaczego dyrekcja POM-u-Skro-
bów nie spopularyzowała metod
pracy traktorzystki Lipkowskiej je-
szcze w czasie siewów? — pytano
w lubelskiej prasie. Zalogą skończy-
łaby siewy o kilka dni wcześniej i
miała poważne oszczędności w pali-
wie.

Drogi z kułackiego podwórka po-
przez POM do Srebnego Krzyża Za-
sługi nie potrafi każdy odszukać sa-
modzielnie i zdobyć delegacji na
Złot. Zrobiła to Karolina Lipkow-
ska, łamiąc stare przesady w swoim
domu, uprzedzenia kolegów w
POM-ie, odnajdując nowe metody
pracy.

Tacy delegaci na Złot, czyż nie
doskonali to zadatek na socjali-
stycznego człowieka?

Krystyna Pałys

W tymieniu obory są zaopa-
trzone w urządzenia wodociągowe.

Wmontowane nad oborą dwa po-
tężne zbiorniki dostarczają wodę do
wszystkich budynków gospodar-
czych. Do zbiorników elektryczna
pompa wodę tłoczy. Wygoda i zdro-
wie.

W lecie 1951 r. stało się jednak
nieszczęście. Pompa przestała dzia-
łać. Zawiadomiono o tym Rejonowy
Urząd Wodno-Melioracyjny w Ko-
szalinie. Przyjechali fachowcy i
pompe naprawili. Niestety, działała
tylko przez dwa tygodnie.

Wtedy dopiero zaczęło się... Kil-
kadziesiąt razy zawiadamiano ustnie,
pisemnie, telefonicznie właściwe
„czynniki”. Nie pomagalo. Przewo-
dniczącemu ustyd już było tak się
naprzykrzać ludziom. Wysłał więc
innych. Bez rezultatu. Ze strumyka
przepływającego obok czerpano wo-
dę na potrzeby chlewni, konie i
krowy pojo no w strumieniu. Broni-
sław Gatóska pocieszał, że zima
sprzyja spółdzielni, bo gdyby tak
w styczniu przyszły mrozy i woda
w strumieniu zamrzalaby.

Adam Sarn

W PRZEWORSKU
TARG.. NA LUDZI

(dokonczenie ze str. 7)

zeniu w zęby, czy aby nie szczerba-
ty i będzie mógł gryźć suchy chle-
bo, po sprawdzeniu, czy nie ma plat-
fuszów, ekonom Piłat powiedział —
„dobrze” i kazał Cynarowi iść za so-
bą. Cynar ruszył z miejsca uszcze-
śliwiony. Przechodząc obok wycze-
kujących parobków czuł, jak mu
tamci zazdroścą, jak obrzucają go
łapczywym, natrętnym spojrzaniem.
Ekonom Piłat znowu zatrzymał się
i pocął upatrywać nowego kandyda-
ta do pracy na folwarku. Cynar sły-
szal teraz dobrze rozmowy między
gospodarzami, a oczekującymi pracy
ludźmi.

Ktoś mówił:

— Dostaniesz jedzenie, parę obu-
wia i ubranie za rok pracy, zgoda?
Na to odzywał się niesmiałym gło-
s: — Dłóżcie, — panie gospodarzu,
choć koszule do tego. Wiece, że czo-
wiek przy robocie potnie, to i łach
niszczy się rychło.

— Nie, nie dłóż. Jeśli nie chcesz
tak, to dam wikt i 5 złotych na mie-
siąc. Chcesz?

— Dłóżcie choć dwa złote, dajecie
za mało, zmiłujcie się!

Wybór padał zwykle na silnych i
młodych, starzy oczekiwali bezku-
tecznie zaofiarowania im jakiegokol-
wiek pracy. Cynar wiedział, co tych
ludzi czeka. Pójdą na żebro, będą
chodzić od wsi do wsi, może złapie
kto jaką robotnicę przy żniwach lub
kopaniu kartofli, ale o stałej służbie
szkoda nawet marzyć.

Kiedy ekonom Piłat wyszukał je-
szcze dwóch, nieznanym Cynarowi
ludzi, opuścili rynek miasta Prze-
worska i udali się w kierunku na
Łańcut.

Jan Koprowski